Powieści

i

PISMA HUMORYSTYCZNE.

FRYD. HR. SKARBKA.

TOM V.

PAN ANTONI. — PODRÓŻ BEZ CELU.

W WROCŁAWIU,
NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.
1840.

PODRÓŻ BEZ CELU

przez

FRYD. HR. SKARBKA.

TOM I.

W WROCŁAWIU,
NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.
1840.

ROZDZIAŁ I.

Wigilia Wyjazdu.

I czegóż stoisz z założonemi rękami, patrzysz na mnie jak zaklęty i nic nie robisz?

Czekam rozkazu pańskiego, co mam pakować; oto kuferek otwarty, wrzuciłeś Pan do niego jednę książkę, a ja przed godziną jeszcze pytałem się jakie mam suknie pakować.

Pytałeś się? . . . . a czyż nie wiesz, czy ci to pierwszy raz jechać ze mną w drogę? nie możesz się domyślić . . . Otóż to tak, my biedni ludzie skazani na to aby potrzebować służących, płacić im za usługi, mniemamy, iż nam co przez to przybyło, że nam z tém lepiéj! błąd wielki, omamienie, trzeba za nich i za nas samych myśléć. Wszakże ja tu już godzinę na próżno strawiłem myśląc o tém abym nie zapomniał czego; siadłem przed stolikiem chcąc sobie spisać rze-

1*

czy koniecznie potrzebne w podróż, napadłem niechcący na portret Emilii, ukryty przezemnie umyślnie między papierami, spojrzałem na niego i już godzina jak na niego patrzę. Ale poco? wszakże już wszystko minęło: ona nie mnie była przeznaczona i o mnie ani myśli! Ale ten portret jest bardzo podobny, ten sam uśmiech czarujący, taż sama słodycz! To było lat temu dziesięć jak ją taką znałem: niewinne dziecie żartowało z wszystkiego, wesołość uprzejma ukrywała całą czułość jéj duszy. Jak jéj też było do twarzy w tym prostym stroju; ta gładka przepaska czarna w jasnych włosach; chciałbym włożyć jéj na głowę ów duży kapelusz słomiany, który ją krył przedemną gdym musiał na spacerze jéj matce towarzyszyć; o jakżem upatrywał téj chwili, w któréjby się obejrzała, jakżem się starał wymyślać jaki powód do zwrócenia jéj uwagi, ażeby te śliczne oczy obaczyć. — Cóż ty znowu robisz Pawle? czyś ogłupiał, cały kufer pełny sukien i bielizny, ktoż zaś słyszał? czyto na kilka lat jadę? czy gdzie na wielkie wizyty?

— A któż tam może zgadnąć pańskie myśli; nie rób nic, źle, pakuj i spiesz się, źle także. Wszakże mi Pan nie powiedział jeszcze dokąd jedziemy, mogęż ja zgadnąć czego Panu potrzeba będzie w podróży?

— Prawda że to trudno: ale bo gdybyś ty tutaj nie stał, tobym ja już był się upakował.

— Więc mam odejść?

— Nie, gdzie tam. O jakieżto utrapienie mieć służącego! nie można nawet myślić głośno; każde słowo wyrzeczone pociąga za sobą potrzebę wyrzeczenia kilkunastu, kilkudziesiąt słów, ażeby myśl z niechcenia powiedzianą objaśnić; a czas upływa, znika i my stoimy nieczynni, bez żadnego pewnego zamiaru i celu, jak gdyby tysiące lat przed nami do przeżycia zostawały. Ileżby to słów i postępków próżnych uniknąć można było, gdyby naszych myśli nie trzeba innym tłómaczyć? Jabym był już upakował, gdybym nie miał służącego; bobym się nie spuszczał na nikogo, a wtedy i cały urok wspomnienia o Emilii nie byłby mię odwiódł od głównego zatrudnienia... — Włóż dwa ubrania całe i bielizny na kilka tygodni. — Ale bo czy też może być co podobniejszego: ten portret jest tak dobrze jak kradziony; poczciwy malarz który dla matki robił jéj minijaturę, dał się przekupić i tę zrobił kopię. Jak ona z niechcenia siadała przed malarzem, jak się nudziła, kiedy długo trwało posiedzenie. Pamiętam, jak poczciwego wujaszka, który usnął przypatrując się robocie malarza, długim papierem załechtała pod nosem i gdy się ten oganiać zaczął, śmiechem parschnęła i tak stolik malarza trąciła, że jéj wielką czarną rysę pędzlem na twarzy zrobił. Znowu stoję nieczynny.... Schowajmy ten prze.... A cóżem ledwie nie wyrzekł; przepraszam cię śliczna Emilio, tyś temu nic niewinna, że.... A co, czy już wszystko gotowe?

— Suknie i bielizna już są upakowane, czy Pan nie da czego jeszcze?

— Czekaj; oto jest mój dziennik podróżny, to pudełko z farbami i pędzlami, ta teka do rysunków, ten pęczek piór, scyzoryk, ołówki.

— A mój Boże, wszystko Pan po jednemu podaje, za każdém bzdurstwem podnieś się i schyl się znowu, aż mię już krzyż zabolał.

— A to znowu co? przykrzy ci się, a za cóż ci . . . chciałem powiedzieć płacę . . . ale poczciwy mój chłopak podnosząc się stęknął, wziął się za krzyż, spojrzał na mnie pokornie i zdawał się czekać na burę; litość mię zdjęła, żal mi się zrobiło . . . . Co teżto my za biedni ludzie jesteśmy że musimy służących trzymać! Trzeba się albo gniewać na nich albo litować nad nimi, jak gdybyśmy nie mieli nas samych za dostateczny przedmiot i gniewu i litości, jak gdybyś na ulicy i wszędzie gdziekolwiek wyjdziesz, na taki przedmiot nie napotkał. Jakby to miło było w domu przynajmniéj być spokojnym i wolnym od wszelkich wrażeń zewnętrznych, od wszelkich uczuć mimo woli naszéj ocuconych. — Włóż jeszcze tę parę książek, rzekłem nachylając się i kładąc je sam do kuferka, zamknij teraz, już wszystko gotowe do wyjazdu, jutro raniuteńko ruszymy. —

Zamknął kufer, oddał mi klucz i wyszedł; a ja stoję i myślę. Ale o czém! Na tobym podobno nie umiał odpowiedzieć; tak mi ta moja podróż w głowę zajechała, że mi wszelkie szyki

w moich pomysłach łamie; nią niby jestem całkiem zajęty; chciałbym się jak najlepiéj wybrać w drogę, a właśnie o tém nie myślę co jest najpotrzebniejszém, lada co mię od głównego przedmiotu odwodzi. O my słabe istoty, jakże nam trudno jednego ciągle trzymać się wątku, na jedno tylko całą uwagę naszą zwrócić! Słyszałem nieraz mówiących, że ten i ów geniusz kilka lat jedną tylko myślą był zajęty, nim ją jako wielką prawdę światu objawił; o jakże też ten wielki geniusz kłamał, on i kilku godzin téj swojéj myśli ciągle w mózgu nie nosił; minuta jedna szczęśliwa była dla niego i dla świata wszystkiém.

ROZDZIAŁ II.

Piękność.

Od godziny warczał pojazd po bitéj drodze, ja puściwszy, podług godnego zwyczaju, cugle imaginacyi bujałem sobie po téj powabnéj przestrzeni, w któréj tylko same pomyślne i ujmujące widoki uszczęśliwioną myśl zachwycają. W tym stanie płonnego zamyślenia, byłem zupełnie jak odosobniony od wszystkiego co tylko mnie otaczało; nie widziałem ani pogodnym promieniem oświeconéj okolicy, ani domów i wsi które mijałem, nie słyszałem ani wesołego śpiewu skowronków, ani peryodycznego krzyku woźnicy którym do koni przemawiał; nie czułem przyjemności świeżego powietrza; byłem słowem jak w osłupieniu, wtedy właśnie gdy przyjemne wrażenia zewsząd odbierać mogłem. Lepiéj było naśladować mego Pawła, który siedząc na koźle

póty się kiwał drzymiąc, aż przy dobrém uderzeniu ledwo że z niego nie spadł. A cóż ty robisz, ospalcze? wrzasnąłem przelękniony i chciałem łajać Pawła, lecz gdy ta kommocya która go obudziła i mnie z letargu ocuciła, uczułem niejaką wdzięczność dla niego, że mi przecież dał sposobność oddania się przyjemności, które w świeżéj i pogodnéj naturze znaleźć mogłem. Wtedy dopiero zacząłem czuć powab świeżego powietrza, przypatrywałem się z pociechą bujnym plonom, pracowitym włościanom, rozsianym po rozległéj płaszczyznie wioskom; przysłuchiwałem się z upodobaniem wesołym śpiewom skowronka i przejęty przyjemnością tych wszystkich wrażeń zawołałem: Ach jakże też to piękne. — Tak, tak, odpowiedział razem i Paweł i woźnica. — Zdziwiła mię mocno ta harmonija naszych uczuć a nadewszystko ta zgodność w przyjmowaniu jednakowych wrażeń, i już miałem się zapuścić w ciekawe badanie nad naturą człowieka, nad tożsamością uczuć które piękności przyrodzenia w nim wzbudzić mogą... gdy mój Paweł dodał do mego wykrzyknika: „ale jakie świecące“ a za nim jakby namówiony woźnica „jakie gibkie.“ Pomieszały mi się zupełnie szyki w głowie; przerwał się bieg myśli i rozumowań, zamiast czynienia wniosków z dostrzeżenia tożsamości uczuć, nawinęła się niedościgła zagadka do rozstrzygnienia: coto miało być swiecącém i gibkiém? — O czémże wy gadacie? zapytałem. — Toć Pan zapewne chwalił te szory na koniach u tego pojazdu, który do-

piero przejechał, rzekł Paweł. — E co tam, szory jak szory, dodał furman, ale biczysko które stangret trzymał, jak było pięknie malowane i gibkie. — Rozwiązała się zagadka; ale znowu nie było o czém myśleć, bo mię te szory i to biczysko zupełnie przeciwko rozumowaniu i wnioskom zniechęciły.

Zajeżdżamy na popas, wysiadam z ową miną niechętną jaką ma człowiek któremu się jaka przykrość zdarzyła. Te przeklęte szory i biczysko nie chciały bowiem ustąpić z głowy; na czynione sobie zapytania od moich ludzi odpowiadam i krótko i sucho, wchodzę ze zmarszczoném czołem do izby karczemnéj porządnéj austeryi i chcę właśnie żądać osobnego pokoju, w tém obróciwszy się z niechcenia poglądam na alkierz, w którym szynkowano trunki i stawam jak osłupiały. Rozmarszcza się czoło, oko wesoło pogląda, uśmiech osiadł na wargach... a czyż mogło być inaczéj? spostrzegłem bowiem postać prawdziwie anielską. Kształtnéj budowy dziewczyna, płeć najbielsza, duże oko niebieskie, ciemne brwi, jasne włosy, skromnie na czole rodzielone przepaską czarną i białą różą ozdobione, uśmiech skromności na koralowych wargach, zęby równe i białe, kibić zajmująca; słowem wszystko co zachwycić może — ale u kogo? w jakiém miejscu? jakże to wyrzec?.. właśnie nalewała szklankę piwa!

Tak mi dopiero było pilno iść do osobnego pokoju, miałem właśnie wołać o wskazanie mi go, dopiero co tak zły byłem... aliści wszystko się

zmieniło, nie idę dałéj, nie wołam, nie gniewam się. O ty niewypowiedziany uroku pięknéj twarzy niewieściéj, czego ty odmienić i wzruszyć nie potrafisz! I cóż daléj z tego będzie? jakże tak stać na środku izby i patrzyć się otworzywszy może jeszcze usta z podziwienia, tak jak chłopak na jasełka; iść precz i żądać osobnéj izby, tego żadnym sposobem uczynić nie można; dla czego? albo ja wiem. Natura nasza, ta wielowładna pani, która zawsze górę bierze nad rozwagą i rozumowaniem, żadnym sposobem na to zezwolić nie chciała. Lecz ona dodała dowcipu, ona doradziła nie wołać o klucz do izby gościnnéj, ale iść samemu do pięknéj szynkarki prosić ją o niego, zwłaszcza że właśnie był wolny przystęp. Zbliżam się prawie mimo woli, oczy jéj spuszczone na tablicę, na któréj kredą jakiś rachunek spisywała, nowego nabierają wdzięku. „Chciałbym“ rzekłem i przerwałem sobie, bo właśnie na mnie z niewymowną prostotą i wdziękiem spojrzała, „chciałbym aby mi do gościnnego pokoju otworzono“ i wyrzekłszy to wziąłem ją za rękę. Imaginacya moja chciała białéj i delikatnéj rączki do tak powabnych rysów i do tylu wdzięków twarzy, rzeczywistość dała mi nieprzyjemne czucie grubéj, spracowanéj i kredą zwalanéj ręki, która nie nawykła wcale do owego tkliwego dotknięcia, co więcéj jak tysiące słów wyrazić może, nie chciała długo pozostać w moich upragnionych dłoniach.

— Zosiu, zawołała donośnym głosem, pokaż

panu pokój gościnny, i oddaliła się odemnie, aby sięgnąć po kieliszek przez kogoś żądany. Ani raczyła spojrzyć na mnie, ani potrafiła dostrzedz pomieszania mojego. Stałem bowiem jeszcze przy alkierzu nie wiedząc co myśléć i co czynić, bo ta gruba ręka, ten głos przeraźliwy, oszpeciły piękność całego obrazu, który imaginacyą zajmował. A do tego wszystkiego nie ona miała mi pokój gościnny pokazać, ale jakaś Zosia: piękne jéj nazwisko, ale ona sama! Cóż robić? trzeba iść za nią, lepiéj było nie żądać osobnego pokoju; wyszedłem otwierając i zamykając drzwi zwolna ażebym się dłużéj jeszcze mógł jéj przypatrywać.

Tylko żem wszedł do tego zbyt skwapliwie żądanego pokoju, wróciła mi się moja kwaśna mina. Zosia żywa, usłużna, lecz niepiękna, zwłaszcza przy tamtéj, spoglądała na mnie z boku ustawiając stołki, uśmiechała się skrycie, a ten uśmiech więcéj miał dowcipu, jak cała postawa tamtéj czucia: widziałem iż rada była pomówić nieco ze mną, lecz moje czoło nie chciało się rozmarszczyć, wyszła więc, raz jeszcze ukradkiem i drwiącą prawie miną na mnie spojrzawszy.

W tym stanie umysłu w którym byłem, nie można było tak sam na sam pozostać; ciągnęło mię coś do tamtéj izby, zacząłem rozmyślać nad wymyśleniem zręcznego powodu do tego. Ale poco koniecznie szukać powodu? czemu nie pojść za pociągiem uczucia? Jakże też człowiek dziwną jest istotą; z jednéj strony wszystko robi aby dogodzić żądzy, z drugiéj nie śmie czę-

stokroć najniewinniejszego dokonać zamiaru dla tego aby się śmiesznością przed bliźniemi nie pokrył. Ta uwaga dodała odwagi; wyszedłem i żądałem piwa, w nadziei, że je moja piękność przyniesie.

Wracam, oczekuję z niecierpliwością, uśmiecham się, twarz cała wypogodziła się jako najpiękniéj, rumieniec osiadł na niéj, nakoniec wchodzi przecież, ale kto? — Paweł, niosąc mi żądany napój. Gdybym był poszedł za pierwszym natchnieniem nieukontentowania, byłbym mu podobno wszystko z ręki wytrącił, lecz oddać muszę sprawiedliwość memu umiarkowaniu, iż w gniewie moim tylko mu jakiś przyłomek dałem i skosztowawszy piwa oddałem żądając, aby mi kazał lepszego przynieść, a sam poszedł do pojazdu pilnować rzeczy.

Tym razem udał się fortel: wchodzi długo oczekiwana, zachwyca mię na nowo swoim niewymownym wdziękiem; zbliżam się do niéj i z ową nieśmiałością, którą niepospolita piękność i wyraz pewnéj szlachetności zarysom twarzy właściwy wzbudza, biorę ją powtórnie za rękę i nie zważając na to co do mnie mówiła, zaczynam chwalić cudny wyraz oczu, świeżość twarzy, wdzięk uśmiechu i gdy coraz bardziéj zapał mój rośnie, odbieram na to wszystko w odpowiedzi najprzód głośne i zupełnie głupie rozśmianie się, a potém te słowa „i daj mi tam Pan pokój, ja nie mam czasu słuchać takich historyj.“

Puściłem ręce, rumieniec osiadł na twarzy,

ale wcale inny jak ten kiedym na nią czekał, spuściłem oczy i nie spostrzegłem kiedy wyszła. Wrażenie zawiedzionego oczekiwania było mocniejsze jak kiedykolwiek. „Czyż może być, by tyle wdzięków tak czczy umysł, tak martwe serce pokrywało, zawołałem rzucając się na krzesło. Czémże jest powierzchowny powab bez duszy? Gdyby się tylko przejrzała w zwierciedle, to anielskie spojrzenie powinnoby iskrę czucia w téj zimnéj duszy wzniecić. Zamyśliłem się nad tą niezgodnością w naturze człowieka i dumania moje przybrały postać melancholijnéj tęschnoty. Głośne śmiechy przerywają moje marzenia, wychodzę do sieni, otwieram drzwi do drugiéj izby, mój pan Paweł jest szczęśliwym moim rywalem, byłem świadkiem jak właśnie ukradł źle bronione pocałowanie. Cóż robić? trzeba się poddać losowi. Nie każdy ma drogę do czucia téj, która wielu zachwyca... Dzisiaj Pan Paweł tryumfuje, może innym razem na mnie koléj przyjdzie.

ROZDZIAŁ III.

Przyjaciel.

Już się zmierzchać zaczęło gdym stanął przed bramą Wiesława, u którego noc przepędzić zamyślałem. Zamknięte wrota dziedzińca, cichość wszędzie panująca była złą wróżbą. A czy jest Pan w domu? — zapytałem się znajomego mi dobrze służącego.

W ten moment go nie masz, lecz za chwilę będzie — odpowiedział Antoni ściskając mi serdecznie nogę jako dawnemu znajomemu, a przyjacielowi Pana swego. Nie pytał się nawet co z rzeczami i końmi uczynić każę, wprowadziwszy mię do mieszkania pańskiego, pomógł wypakować i wszystko sam umieściwszy jak wypadało, przyszedł do mnie, zapytując się czyli nie miałem czego do rozkazania.

— Nic, mój kochanku, przyjechałem do was

na nocleg i rozgoszczę się jak u siebie. Gdzie też twój Pan być może?

— Nie wiem — odpowiedział podnosząc powieki w górę i nachylając głowę ku lewemu ramieniu, które nieco w górę uniósł; co się miało znaczyć: wiem ja, ale powiedzieć nie mogę.

— Może jest na słomkach? dodałem. „Może!“ jeszcze misterniejsze od poprzedzającego „nie wiem“ z pewnym satyrycznym uśmiechem wyrzeczone, było odpowiedzią Antoniego i kazało mi się domyślać, że sługa radby się wygadał i uwagi nad spacerem pana swego uczynił, gdyby z kim innym jak z najpoufalszym przyjacielem jego miał do czynienia. Poprzestałem więc badania i zacząłem maleńką podróż po pokoju Wiesława odbywać.

Przypatrywałem się wszystkiemu jakby nowością dla mnie było i starałem się dociekać wszelkiéj zmiany, która w sprzętach lub w ich ustawieniu od czasu ostatniéj bytności mojéj przed rokiem zajść mogła. Zwiedzając dom szczerze kochanego przyjaciela pod niebytność jego, wszystko co nas w nim otacza, przyjemniejsze na nas czyni wrażenie jak powrót do własnego domu. Tu bowiem widzimy we wszystkiém nas samych tylko, tam zaś wspomnienie na przyjaciela każdemu niemal wejrzeniu naszemu towarzyszy. W własném mieszkaniu jestem zawsze sam jeden tylko, u Wiesława było nas dwóch zawsze i wtedy nawet nim jeszcze powrócił.

Nic nie przybyło na ścianę rysunków Wiesława, więc albo próżnował przez rok cały, albo też rozdarował wszystko co zrobił, zapewno sztambuchy piękności całéj okolicy pełne być muszą jego rysunków.

Oho! mój pejzaż dostał nowe ramy; dziękuję ci za tę pamięć Wiesławie; gdybym u ciebie mógł przypuścić potrzebę dowodów przywiązania, byłby to znak pomyślny dla mnie, iż nie tylko zostałem w sypialnym pokoju pańskim ale nawet ozdobę dostałem.

Dubeltówka wisi na dawném miejscu, więc nie jest na polowaniu, gdzież tak późno w noc bawi? Książek widzę przybyło do biblioteczki, ale co za nieład między niemi! tomy pomieszane. A stolik do pisania? i tu niewielki porządek panuje... Co widzę! list do mnie zaczęty. Poczciwy, kochany Wiesławie! musisz mieć potrzebę wylania przedemną uczuć, któremi jesteś przejęty w téj chwili, kiedy tak blisko list za listem miał nastąpić; wszakżem onegdaj jeszcze od ciebie wiadomość odebrał. Prawda, że list ten był dziwny, pełen jakiegoś pomieszania, chciałeś coś wynurzyć przedemną, lecz nieśmiałość jakaś . . . Miałażby to być jaka zgryzota? Czytajmy początek tego listu, wszakże on do mnie pisany... Aha, domyślam się teraz wszystkiego; i przyczyny nieobecności dzisiejszéj i pomieszania w ostatnim liście okazanego. Wiesław się kocha; nieborak, czemuż nie wyznał tego zaraz w pierwszym liście? i tu się waha

jeszcze, cóż to być może? Tak, tak, już to wiemy od dawna: nic piękniejszego, śliczna płeć, spojrzenie czarujące etc., „oto jest słaby obraz téj, która wartąby była“ zaraz, przewróćmy kartę; tak, kiedy nie ma nic więcéj. Ale i oto minijaturka rozpoczęta, twarz prawie skończona; piękna, prawdziwie piękna; ale dla czegoż ani włosów, ani ubioru jeszcze nie narysował? ta twarz może należyć jeszcze i do księżniczki i do prostéj wieśniaczki, tak, ale ta ostatnia tyle wdzięku posiadaćby nie mogła... A moja dzisiejsza szynkarka? To wspomnienie popsuło cały ideał piękności, który umysł mój utworzył, położyłem na swoje miejsce minijaturę i wróciłem do listu chcąc koniecznie odgadnąć zagadkę.

Tętent konia przerwał próżne domysły; Wiesław powrócił i z zwyczajną uścikawszy mię szczerością, okazał ukontentowaniem i całą postawą swoją, jak wiele potrzebował mego przybycia i że mu zbywało na tém sercu, któreby jego uczucia pojąć i dzielić umiało.

— Czyś umyślnie do mnie przyjechał? zapytał ściskając mi rękę.

— Przejeżdżam tylko kochany Wiesławie, jestem w wielkiéj nawet podróży.

— Ty, a to dokąd?

— Do Szląska i Saxonii.

— Poco? Cóż ty tam możesz mieć do czynienia?

Nic, to prawda, jadę tylko odświeżyć wyobrażenia w moim umyśle, nabrać nowych, prze-

rwać tę monotonią jednakowych wrażeń dobrego i złego, pięknego i ochydnego, któremi od lat kilku jestem otoczony.

— Więc tylko dla rozrywki podejmujesz tę podróż?

— Może ona się zdawać tylko rozrywką; dla mnie będzie nauką. Wierzaj mi kochany Wiesławie, że my nie zawsze tylko w książkach szukać powinniśmy nauki, nie tylko z samym geniuszem i dowcipem na papierze wylanym obcować, nie tylko nad tém powinniśmy ślęczyć coby być powinno lub być mogło, i samemi dziełami doskonałości i piękności nienasycony nasz umysł zasilać. Trzeba się koniecznie odrywać niekiedy od martwych liter, od teoryi, prawideł i ujmujących opisów, trzeba zamiast rozmyślania nad doskonałością umieć patrzeć na niedoskonałość, oswajać się z prostotą i z głupstwem, przypatrywać się naturze i ludziom takim jakimi są, a nie jakbyśmy ich mieć chcieli; tą drogą dojdziemy do tego przekonania, że i największym geniuszom zbywa na farbach i wyrazach, któremiby naturę dosyć wiernie naśladować potrafili, i że ludzi zawsze gorzéj sobie wystawiamy jak są w istocie. Jadę słowem za granicę, ażeby wielbić dzieła przyrodzenia i pogodzić się z ludźmi.

— Z jakimże zapałem mówisz! z tą gorliwością do zgody z ludźmi. Strzeż się abyś nam do Polski dowodu zupełnego pojednania nie przywiózł, boby na tém koniecznie która polka cierpieć musiała.

— A Mości Dobrodzieju! co za grzeczność, ale niech Pan sobie nie żartuje ze mnie, bo ja ci wnet odpłacę; czytałem ja początek twego listu do mnie, którym na stole zastał... a gdzieżto Pan tak długo dzisiaj bawił?

Chciałem daléj mówić, lecz Wiesław przerwał mi mowę mrugnieniem, które znaczyło, iż przy ludziach zajętych słaniem nie chciał o téj materyi nic mówić. Piękność wieczoru i potrzeba świeżego powietrza były powodem do wyjścia do ogrodu.

Gdyśmy na ławce pod gankiem usiedli i wschodzącemu księżycowi przypatrywać się zaczęli, rzekł do mnie Wiesław. „Smiać się będziesz ze mnie, gdy ci to wyjawię co miało być przedmiotem mojego listu; nazwiesz to może dziwactwem, uniesieniem chwilowém, ale mniejsza o to; wiem że umiesz dzielić moje uczucia i pobłażać słabościom, dlatego tobie tylko wyjawię tajemnicę. Czytałżeś opis piękności, która mnie zajmuje?

— Czytałem, ale się właśnie karta jak zagadka kończyła, mówisz bowiem, iżby twoja piękność *warta była,* a czegóż? tego się domyśleć nie mogę, chyba....

— Nie psuj przyjemnych urojeń i marzeń moich domysłem niezgodnym z wrażeniami, które jeszcze tkwią w moim umyśle. Wysłuchaj mię cierpliwie do końca, proszę cię. Tydzień temu będzie, jak uganiając się za pewnym przedmiotem

niezupełnie niewinnych chęci, wpadłem niechcący prawie do mieszkania mego leśniczego, zamiast tego com szukał zastaję młodą matkę karmiącą śliczne dziecię: zdziwione jéj spojrzenie dało mi widzieć w całéj świetności najpiękniejsze oczy, których błękit od świeżości płci cudnie się odbijał. Jéj postawa nie miała nic pospolitego, było to szlachetne uczucie godności macierzyńskiéj, obok pewnego uszanowania, którego mi chciała dać dowód. Pomieszany tém niespodzianém wrażeniem, zapomniałem o celu mego przybycia, i nieledwie że przepraszać chciałem za nagłe przerwanie jéj spokojności. Usprawiedliwiłem je potrzebą rozmówienia się z jéj mężem i chociaż nie miałem słusznego powodu dłuższego przebywania, nie mogłem się oderwać od pięknego obrazu, który się tak niespodzianie oczom moim ukazał. Od téj chwili szukam zawsze jakiego powodu do odwiedzenia mego leśniczego; jego bytność w domu nie była żadną dla mnie przykrością i teraz nie szukam nawet próżnych powodów, lecz idę przepędzać w tém wiejskiém ustroniu chwile, które tém są dla mnie słodsze, że im żadne wyrzuty sumienia nie towarzyszą.

Uśmiechnąłem się słuchając téj powieści Wiesława, i rzekłem: „Pomimo całéj filozofii twojéj, nie chciałbym jednakże być w skórze męża twojéj piękności i pozwól, że nie dam wiary długiemu trwaniu twego platonizmu.“

— Mniejsza o Platona i jego zasady, które nic wspólnego z mojém upodobaniem nie mają,

to jednakże pewna, że i Platon musiałby znaleźć upodobanie w téj kobiecie, która wartąby była wyższe zająć miejsce w stopniowaniu stanów. Nie lękaj się o męża, mógłbyś nim być bezpiecznie. Jest to młody, przystojny i rządny człowiek, który ufa swéj żonie, i dlatego nie ma pana swego w podejrzeniu, że przyjdzie niekiedy posiedzieć w jego chatce naprzeciw jego Jadwigi, ażebym najczystszéj używał rozkoszy przypatrywania się téj ujmującéj twarzy.. Zapewne rozumiesz że się kocham, że szczególna jakaś sympatya nęci mię do téj kobiety i nadzwyczajnym urokiem wszystkie jéj wdzięki w oczach moich otacza: nie, bynajmniéj, nie jestem ani rozkochany, ani omamiony, lecz w samotności mojéj zbywa mi na przedmiotach, któreby przyjemne uczucia we mnie wzbudzać mogły; piękność, sama tylko piękność, w czémkolwiek bądź się znajduje, byleby nosiła cechę doskonałości utworu, który duszę szlachetnemi wyobrażeniami zająć może, sama tylko piękność, mówię, zapełnić może ten brak udziału uczuć naszych, ten brak serca, któreby jednakowo z naszém biło. Gdybym ciebie miał tutaj, albo gdybym mógł znaleźć w okolicy jaki godny przedmiot miłości mojéj, możeby Jadwiga z całym swoim wdziękiem żadnego na mnie nie uczyniła wrażenia.

— Więc w całéj okolicy nie ma nic równego Jadwidze?

— Tak jest, bez żadnéj przesady. W osobach wyższego stanu żądamy daleko więcéj jak

prostéj tylko piękności rysów i postawy, żądamy nadewszystko pięknéj duszy; w osobach zaś do klassy pracowitéj należących, piękność powierzchowna, skromność, prosty rozsądek, niejaka przynajmniéj zręczność, więcéj nas zająć mogą, jak mierne talenta, wyuczona grzeczność i wymuszony dowcip u tamtych; tutaj przynajmniéj czysta i prosta natura wdzięków dodaje, któremi tam gardzą.

— Proszę cię, przerwałem przypomniawszy sobie moją piękność na popasie — czyliżeś wziął kiedy za rękę twoję Jadwigę?

— Skądże to pytanie, i poco?

— Nic, tak tylko, odpowiedz na nie, proszę.

— Więc nie, zaręczam ci.

— Nie chwaliłżeś jéj nigdy w oczy, i nie mówiłeś jéj cośkolwiek o wrażeniu które na tobie zrobiła?

— Nie, nigdy.

— To co innego; strzeż się bowiem, jeżeli chcesz używać dłużéj rozkoszy, którą w przypatrywaniu się znajdujesz, ażebyś twojéj Jadwigi nigdy za rękę nie wziął, bo w oka mgnieniu uleci twoje marzenie.

— Zdziwił się Wiesław, zapytał o rozwiązanie téj zagadki, a gdym to uczynił, żałował ciekawości swojéj.

ROZDZIAŁ IV.

Aktorowie.

Pomimo pierwsze postanowienie moje zabawiłem dni kilka u Wiesława, i po przyjemnych chwilach wśród udzielania sobie nawzajem uczuć z najlepszym przyjacielem spędzonych, wróciłem do samotności umysłowéj wsiadłszy do pojazdu. Było nas wprawdzie trzech, ale szory i biczysko zanadto mi tkwiły w pamięci, abym się miał odważyć kiedy głośno myślić.

— Znużony podróżą stanąłem w Kaliszu koło południa, z przedsięwzięciem pozostania tamże resztę dnia. Ledwo żem się rozlokował w mieszkaniu aby wykonać to postanowienie, wpada Paweł zdyszony, nadzwyczajne ukontentowanie maluje się na twarzy, rozumiem że mi jaką nader pocieszną nowinę ogłosi: Panie — zawołał — I cóż takiego? — Mamy teatr w domu. — Spoj-

rzenie moje na wpół ucieszone zamieniło się natychmiast w kwaśne, zwolna przeszło w pogardzające, a nakoniec w pogodne uśmiechowi politowania towarzyszące. Paweł patrząc się na mnie cofnął się parę kroków, jak gdyby się dziwił, że mnie ta tak ważna nowina tak mocno nie obchodzi jak jego, i dodał kiwając głową i nie spuszczając mnie z oka: „dalibóg prawda, że teatr mamy w domu, dziś będą sztuki pokazywać.“

Rozśmieszyła mię i postawa i głupota jego — I cóż z tego? czyśto nigdy nie słyszał o teatrze w Warszawie?

— A to co innego w Warszawie, tam to bywają komedye w osobnym pałacu, ale tu są w domu w téj saméj oberży; a ci co będą pokazywać sztuki, są na dole w dziedzińcu w wozowni, i Bóg wie nieco już teraz dokazują, a cóż dopiero będzie na wieczór?

— No zrobię ci tę uciechę, że ci dam na bilet abyś widział komedyą. Oto masz. — Ukłonił się i wyszedł uszczęśliwiony.

Jego powieść o aktorach zgromadzonych w wozowni podsyciła ciekawość moję; może to będzie co zabawnego do widzenia, może tam jest która piękna księżniczka lub prima donna. Wychodzę, spotykam markiera na schodach, zapytuję go się o teatr, o aktorów.

— O tak, jest teatr u nas i to już od tygodnia, ale jaki paradny! to tak aż na ulicy słychać kiedy śpiewają i kiedy publiczność klaszcze, to się aż cała sala trzęsie.

— A skądże są aktorowie?

— Nie wiem, podobno tak tylko jeżdżą z miejsca na miejsce i nigdzie nie mieszkają; wczoraj był *Omlet*, gdzie się tak zabijali że aż strach było, i ja grałem *ducha*.“

Podziękowałem za wiadomość i pospieszyłem na dziedziniec, aby bliższą znajomość z artystami zrobić. Nie długom szukał: głośne śmiechy, wykrzykniki i rulady, poprowadziły mię ku obszernéj wozowni wypróżnionéj na skład dekoracyi i garderoby, na salę do powtarzania rol, do przyspasabiania ubiorów i na sypialny pokój dla artystów niższego rzędu i figurantów. Gdy niegrzecznie by było przypatrywać się zgromadzonym i rozmaicie zatrudnionym osobom w tym salonie, stanąwszy po prostu naprzeciw otwartéj bramy, obrałem sobie własny mój pojazd, (który dla szlachetniejszego przeznaczenia właściwego sobie mieszkania na dworze pokutować musiał) za lożę, z któréj bym się mógł wygodnie i bez podejrzenia o zbytnią ciekawość wszystkiemu przypatrywać, co się w wozowni działo.

Dwie panny na samym przodku zajęte były prasowaniem sukien do dzisiejszéj reprezentacyi potrzebnych, i poglądając kiedy niekiedy na otwartą przed sobą książkę, przerywały monotoniją prasowania maleńkiemi ruladkami i śpiewkami, z któremi się jeszcze ani głos, ani pamięć nie były spoufaliły. Za stołem na drabinie siedział amabilis i pierwszy amanto, książę i śpiewak całéj trupy, który zanadto będąc pewnym swéj pa-

mięci i pomocy suflera, nic nie robił, lecz paląc lulkę z ową miną wyższości, która ckarakter gry jego stanowiła, przez ustawiczne odzywanie się przeszkadzał powtarzającym role swoje; a najmilszém spojrzeniem i wiele znaczenia mającém mruganiem, pierwszą z pomiędzy prasujących obdarzał.

Na drugiéj stronie ściany stała żona antreprenera teatru nad otwartą skrzynią, z któréj sufler garderobę na dzisiejszą reprezentacyą dobywał, i pilnie każdy artykuł przeglądała, czyliby nie było potrzeby jakiéj naprawy. W pośrodku sali zajęty był sam antreprener przymierzaniem munduru na furmana trupy, który miał być zapewne dowódcą jakiego oddziału figurującego w wystawianéj sztuce. Z tyłu dochodziły zupełnie przeciwne odgłosy jednego artysty, który siedząc w starych sankach na gwałt uczył się roli, a drugiego chrapiącego na słomie, któremu nie dosyć wcześnie zapowiedziano, że miał dzisiaj wystąpić na scenę, a przeto niczem obcém głowy nie zajmować.

Taki był rozkład grup i czynności całéj kompanii; każdy był tylko swojém zajęty, bo i książę trupy najwięcéj się dymem lulki swojéj zajmował. W tém przybywa jakiś elegant miejscowy, czapka na bakier, faworyty ogromne, wąsiki maleńkie na przód kończato wystawione, czamara, a pod nią kilka kolorowych chustek. To musi być jaki panicz, któremu zapewne która z prasu-

jących została w pamięci. Ale nie, bo mu się nikt nie kłania.

— Dobry dzień moje Panie, rzekł uchylając czapeczki i wchodząc z miną tryumfującego do wozowni; dzień dobry Ołesiu (ściskając rękę książęciu na drabinie). Będziecie dziś mieli pełny teatr, słowo honoru; ja wszędzie tak o was nagadałem wiele, że wszyscy przyjdą. — Całując rączkę pierwszéj z brzega — Cóżto, Pani w złym jesteś sosie?

— Co Wasanu do tego? czegóż się mam cieszyć?

— Czego? no, mam ja słóweczko dla Pani.

— A od kogo? aby nie od siebie.

— Cóż to, czym nie wart?.. ale tym razem od pana (szepcze jéj do ucha), słowo honoru.

— Co mi po twojém słowie, ja chcę zapewnienia.

— (Książę z drabiny.) Héj coto te szepty znaczą? Panie kamerdyner proszę ostrożnie w mojéj obecności.

— Daj go licho, co za pan, tyś przecie ani mąż, ani antreprener. Mam dla ciebie na dzisiejszy wieczór taką gratkę.

— I cóż takiego?

— Sztosik zamówiony, a do tego ze dwoma frycami, których będzie można oporządzić.

— Przeklęta komedya. Panie Michale nie moglibyście się obejść bezemnie dzisiaj?

Antreprener. Co Wasanu do głowy przy-

chodzi? obejść się bez Wasana, kiedy afisze już poprzylepiane.

— No to żartowałem, staraj się aby tę partyjkę odłożyć można do skończenia sztuki; jak się tylko pozbędę zaciągu, to zaraz pójdziemy?

Gdym się w najlepsze przysłuchiwał rozmowie, czuję że jadę z moją lożą i widzę, iż stróż miejscowy obmyśliwszy pomieszczenie dla mego pojazdu, chciał go właśnie wtaczać. To mię w niemały ambaras wprawiło, jakże tak wisiadać po prostu i przed wszystkimi; cóż robić, trzeba jednak wyjść z tego, boby mię do wozowni zamknięto. Udam że się niby budzę; zawołam na stróża jakbym się nagle ocucił i stanę przed wszystkimi z miną pożyczoną. Albożto oni dziś wieczór przez parę godzin także udawać nie będą? Tak było w saméj istocie; mój amabilis z drabiny grał szlachetnego młodzieńca, który cierpi prześladowania dla cnoty; prima donna była niewiniątkiem, pani antreprenerowa księżną, a furman wodzem.

Podobno to nie pierwsi tego rodzaju aktorowie.

ROZDZIAŁ V.

Granica.

Od godziny już szedłem pieszo przed pojazdem wolno w piaskach postępującym; stare lasy jodłowe przerosłe bukami zajmowały uwagę i pocieszały oko strapione zbyt długo trwającym widokiem piaszczystych równin i błot, które właściwą Polskę od Szląska oddzielają, czyli raczéj, dla jednostajności swojéj, granicy między temi dwoma krainami dostrzedz nie dozwalają. Czy to już Szląsk? zapytałem poniemiecku przechodzącego wieśniaka, który kiwnął głową i odpowiedział po polsku *nie rozumiem*. Powtórzyłem zapytanie w naszym języku, zdziwiony że po kilkogodzinnéj podróży od Ostrowa jeszcze dotychczas w Szląsku być nie miałem, kiedy ludzie poniemiecku jeszcze nie rozumieją.

— Jegomość już z milę w Szląsku ujechał,

odpowiedział wieśniak mijając mię, jakby był przekonany, że go czczém tylko zapytaniem zatrzymuję. Więc i w Szląsku jeszcze po polsku mówią, pomyślałem sobie, ród Słowian jeszcze tutaj nie wygasł, a pamięć jego tak mało już żyje w potomkach. Jego potęga jest owym odcieniem, który wydatności dzisiejszym państwom dodaje, owym martwym wyrazem na karcie dziejów świata, którego wkrótce mało kto zrozumieć potrafi... I my jeszcze budujem dla chwały? my i cnotę i życie znaczeniu i świetności narodowéj niesiemy w ofierze, jak gdybyśmy mieli zamkniętą dla siebie xięgę dziejów ludzkości, jak gdybyśmy za każdém stąpieniem po półkolu naszém, granicy jakowegoś państwa nie deptali! My nędzne istoty pniemy się do szczytu potęgi, nie pomnąc, że tam jest właśnie punkt przewagi, z którego trzeba koniecznie spaść w przepaść. Dlaczegóż dotąd nie umiemy przypatrywać się harmonijnemu porządkowi przyrodzenia, nie pojmujemy znaczenia moralnego ustawicznéj przemiany dnia i nocy, zimy i lata, życia i śmierci. Nie dosyć silni na umyśle abyśmy się nad siebie samych wynieść umieli, przenosimy ducha lekkomyślności, który postępki nasze znamionuje, do wszystkich stosunków odwiecznego porządku.

Ta ziemia była niegdy ojczyzną przodków naszych, a dzisiaj!... jest ojczyzną naszych bliźnich (dodał rozsądek). Czyliż to słup, lub herb na nim przybity, stanowi różnicę narodu i jego szczęśliwości? Ludzie wszędzie jedni, zgro-

madź ich w mieście, podzielą się na okręgi obmowne, które dotąd zagranicznym tylko wyrazem koteryi odznaczamy, dla tego żeśmy w języku naszym odpowiadającego wyrazu nie zastali; przypatrz im się jako narodom, też same obmowne okręgi spostrzeżesz. Tam jednych kilkunastu szydzi i najgrawa się z innych kilkunastu; tutaj krocie lub miliony wtedy się najlepiéj zgadzają, gdy innym krociom lub milionom znieważenie, hańbę, lub zagładę gotują.

Ach! jakże dobrze jest oderwać się niekiedy od téj koteryi, do któréj należymy, powędrować do obcego kraju, obcować z obcymi jako z ludźmi i zapomnieć, że nas granice i nałogowe uprzedzenia oddzielają! Kto się temi uczuciami przejąć potrafi, znajdzie wszędzie dobrych ludzi, którzy piękności przyrodzenia nowym powabem ozdobią. O jakże mi tu dobrze jest teraz, już jestem na obcéj ziemi między cudzoziemcami; przybywam pomiędzy nich z uczuciem pomiłowania, może i tutaj znajdę przyjaciół, może.... Panie, zawołał Paweł spiesząc za mną i przerywając moje słodkie marzenia „a kiedyż my tam za tę granicę wyjedziemy?“

— Od dawnaśmy ją już przejechali.

— E, zaś; toć tu tak jak i u nas, takie same piaski, takie same drzewa.

— I cóż z tego? czyto za granicą ma nie być tak jak u nas?

— A jeżelić tak jest, pocóż my tu jedziemy?

To nie sztuka, i u nas w domu tego wszystkiego się napatrzy.

— A czegóż ty chcesz?

— Ba, toćto za granicą coś innego już być powinno, ale tu nawet ludzie po polsku mówią; wartóżto było jechać tyle mil drogi.

ROZDZIAŁ VI.

Ziomkowie i Cudzoziemcy.

Już od godziny byłem w Oleśnicy; chodziłem po ulicach, wyszedłem za bramę, szukałem koniecznie czego ciekawego i dla tego właśnie żem szukał, nic mi się uwagi godném być nie zdawało. Cóż w tém dziwnego, że miasteczko czyste, dosyć porządne, że Niemeczki schludniejsze od naszych kucharek i młodszych, że dwie tablice drogowe za miastem stoją i dwom panom opłatę za wolność przejechania po piasku opłacać trżeba? nic zapewne; a za to że chodzisz próżno po ulicach, to cię stojący przed sienią z lulkami wytykają palcem, i przypatrują się tobie jak rarogowi, dla tego że masz coś cudzoziemskiego w postawie. Mnie to gniewa doprawdy, czegóż ja mam być przedmiotem obcego zadziwienia? pocóż mam chodzić między nimi jak gdybym miał napisane na czole: *to cudzoziemiec.*

A któż temu zaradzi? ja sam; zdejmę tę czapeczkę warszawską z pewną fantazyą na głowę włożoną, porzucę minę zuchwałą, nie będę w górę patrzał, ani oczu przymrużał, udam skromnego i flegmatyka, kupię sobie czapkę axamitną czarną, porcelanową lulkę z rogowym cybuchem, i już śmiało między obcymi, jak między swymi chodzić będę.

Wchodzę do sklepu, proszę o czapkę, wskazując na jednę, która mi się szczególniéj narodową być zdawała i targując przypatruję się kupcowi, który przy zdejmowaniu, okurzaniu i podaniu mi czapki i na chwilę palenia lulki nie przerwał, ażeby się nauczyć jak z cybuchem w ustach rozmowę prowadzić i wszelkie drobne czynności odbywać można. O jakże mi pięknie w czapeczce: proszę jak to mało potrzeba człowiekowi żeby go wynieść lub ¦zniżyć; ta czapka zrówna mię z krajowcami, a poniży w oczach ziomków, jeżeli się z nimi gdzie spotkam; u tych będę *Niemcem* u tamtych nie będę *Polakiem*, co tu zyszczę, to tam stracę, ale mniejsza o to, wszakże między tamtymi jestem.

Ustrojony w czapkę czarną axamitną i uzbrojony w lulkę porcelanową z twarzą Blüchera z rogowym giętym przy końcu i pięknie żołtym i szafirowym kamelarem przeplatanym cybuchem, wychodzę na świat ze sklepu jak z karety na salę redutową, ale nikt na mnie nie patrzy, nikt się nie domyśla nawet, żem się zamaskował... a

wszakżem chciał tego; tak, ale szkoda jednak że na nikim wrażenia nie czynię.

Wracam do oberży, idę prosto do mego pojazdu, który stał przed sienią, chcąc włożyć własną czapkę warszawską... aż tu słyszę Pawła, który woła na mnie z sieni... héj *Ladsman, niks*.... a czegóż on tam chce? czyżeś tu co schował.... A dalibóg prawda, to Pan; a któżby pana poznał w tém czapczysku niemieckiém, z tém lulczyskiem, co teżto Pan znowu!

— I cóż cię tak dziwi? Cóż to złego w téj czapce, w téj lulce?

— Toć Pan wygląda jak czysty Niemiec.

— I cóż w tém złego?

— Ej, zaś, rzekł Paweł, rozśmiał się głośno zasłaniając twarz ręką i patrzał się na mnie z miną, która miała znaczyć: *wólnoć Panu ze mnie szydzić.*

Porzucam Pawła, kontent z pierwszego powodzenia mojego zamaskowania, wchodzę do izby gościnnéj... ale na pierwsze wstąpienie chcę się cofnąć, opuściła mię jak mówią fantazya, dużo bowiem gości zastałem, a co najgorsza, dwóch młodych kawalerów grających w billard, których na pierwsze wejrzenie za ziomków poznaję. Ledwo że spojrzeli na drzwi, gdym je uchylał; nie zważają na mnie wcale. Wejdźmy więc i siądźmy w téj koteryi, do któréj teraz jako właściciel nowéj czapki i lulki należę.

— Niech ich djabli wezmą z ich drejcakiem, rzekł jeden z grających stojąc rozkraczony przy

bilarze i ostrząc kij pilnikiem z pewną fantazyą nam tylko właściwą.

— Jeszcze oto jeden przybył i będzie nam kopcił, rzekł drugi mając mnie na myśli i przymierzając się do bili, — chiałbym tę zgolić przez dublet, żeby tych Niemców zadziwić.

— Nie udawaj próżno, bo nie tęgo grasz. *Garçon*, a prawda! *Markier, eine Cygaro!* lepiéj palić cygaro, to przynajmniéj tamtego dymu czuć nie będę.

— Hier ist, Herr Graf.

Zapłacisz ty za tego Grafa, pomyślałem sobie pocichu i nastawiłem z drugiéj strony ucha rozmowie, która się ciszéj nieco przy moim stoliku poniemiecku odbywała.

— Co to za jedni? zapytał jeden.

— *Das sind Polaken!* była krótka odpowiedź, która mnie szczerze rozgniewała dla tonu w którym tę parę wyrazów wymówiono... Obróciłem się z niechęcią, lecz przypomniawszy sobie rolę moją wstrzymałem się natychmiast i zwróciłem znowu uwagę na ziomków.

— Zeby przynajmniéj było dosyć polek w Warmbrunn, bo z temi Niemkami to nie wiedzieć co robić!

— Nie mów tego; Niemki dobre, jak je tylko poznasz, to w nich zagustujesz.

— Tak, ale ich mężowie, braciszkowie, kuzynkowie, to to niewieda co z tém robić.

— Zobaczysz, że w Warmbrunn znajdziesz takich z którymi żyć można; oni się czasem pu-

szczają; ja sam widziałem kilku co po paręset dukatów na jeden wieczór przegrywali.

— Doprawdy? — *vingt quatre à . . .* bogdajże cię djabli porwali, ja byłem pewny, że tę zrobię.

— Wiesz co? tak mi się pić chce po tym szelmoskim obiedzie.

— A to każ sobie dać piwa.

— Toć oni już wszyscy piwo piją: trzeba przecież ruszyć rezonem i pokazać im co to są Polacy.

— Markier, ein Butelle Wein.

— Ja, Herr Graf.

— Patrzajno jaka zręczna Niemeczka.

Na te słowa obróciłem się ku drzwiom i postrzegłem dosyć przystojną służącą, wnoszącą cztery kufle piwa zaprawne cytrynami, chlebem i cukrem, dla moich kolegów przy stoliku. Każdy z nich odbierając swój kufelek szczypnął ją po kolei w policzek, a ona każdemu uśmiechem za tę grzeczność podziękowała. Nie chcąc się różnić od moich kolegów sięgnąłem i ja ręką do policzka, żądając podobnego kufla piwa, lecz tak niezręcznie, żem się aż zarumienił. Od nas przeszła dziewczyna koło bilardu, i zamiast pogłaskania po twarzy, musiała przejść przez ręce dwóch grających, którzy ją serdecznie uściskali... *Ey doch, was machen Sie denn!* słyszałem w tém jéj przejściu, nie widząc jéj wcale przed osłaniającemi ją rękami, wyszła nakoniec racząc całą kompanią uśmiechem.

— Co oni sobie myślą na nasze umizgi? to nie tak jak oni co głaszczą pod brodę.

— Mówią zapewne: „to to chwaty ci Polacy.“

Ledwie żem to usłyszał, obracam się ku kolegom i słyszę:

— Das war gar grob.

— Das ist schon ihre Manier.

Długo przysłuchiwałem się jeszcze tym zobopolnym grzecznościom i w cichości serca rozmaite robiłem dostrzeżenia nad ziomkami i cudzoziemcami, a między innemi szczególniéj mi się podobał stosunek odwrotny skromnego kufla piwa do Szląska, a butelki wina do Polski. Podług zdrowego rozsądku wypadało wprawdzie ułożyć następujący stosunek: tak się ma butelka wina do kufla piwa, jak zamożność Polski do zamożności niemieckich krajów: ale doświadczenie mocniejsze od logiki nie potwierdzało tego wniosku; a jednakże Polacy pili wino, a Niemcy piwo; ale też za to . . . . oho! my wiemy coto znaczy.

ROZDZIAŁ VII.

Pogoń.

Wyszedłem nakoniec z izby cichaczem, nie dałem się poznać nikomu, zaspokoiłem skromny mój rachunek i miałem się w dalszą puszczać drogę, gdy spostrzegłem bardzo piękny pojazd polski stawający na ulicy; ujmująca młoda dama wygląda oknem szukając kogo, któregoby się zapytać mogła, i spojrzawszy na moje czapkę i lulkę pyta mię się złą niemczyzną: którędy jechać do Wrocławia? Nie śmiałem odpowiedzieć po polsku, bo mię przeklęte zamaskowanie wstydu nabawiło, odpowiedziałem po niemiecku i odebrawszy najprzyjemniejszy uśmiech w podziękowaniu, zająłem się wrażeniem szlachetnego i ujmującego wdzięku, złorzeczyłem przestrojeniu się mojemu, które mi może było na przeszkodzie do zrobienia przyjemnéj znajomości, patrzałem długo za pojazdem, a gdy mi znikł z oczu, pośpieszyłem do mojego po-

wozu i kazałem jak najprędzéj gonić ten, który przy przejeździe swoim tak krótko mi tyle wdzięków ukazał.

Wyjeżdżam za bramę, nic nie widać; chcę spieszyć, a gdzie tam, trzeba myto drogowe zapłacić.... Spiesz się Wason, bo mi pilno, rzekłem dając talarka w braku drobniejszéj monety. Wypogodziła się twarz pobórcy na widok kurantu i zdaje mi się, iż przypatrując się talarkowi rachował zysk z wymiany jego wynikający, który jako godziwy akcydens do własnéj schowa kieszeni. A ja siedzę w pojeździe, przechylam się na jednę i drugą stronę, czyli między toczącemi się zwolna furmańskiemi brykami gdziekolwiek w oddaleniu pojazdu mego nie spostrzegę. I siedzę jeszcze i trzepię nogami z niecierpliwości, wołam na Niemca, który zwolna najgorsze dydki, srebrniki i greszle na stole rachuje, wołam na Pawła, który z flegmą na tę nieznośną resztę czeka. A ma ją przecież. — Nie oddawaj mi tych szelążków, będziesz niemi płacił po drodze, tylko siadaj i jedźmy.

— Ale kiedy ja nie wiem wiele one znaczą, to będą oszukiwać.

— I co tam, nie widzisz tam gdzie pojazdu tego co przed nami z miasta wyjechał?

— Nie. A wieleżto znaczy taki dydek?

— Albo ja wiem... ale patrz mówię ci przed sobą, czy widzisz. I oto podniósł się, stoi, patrzy, nic nie widzi zapewne i mnie jeszcze zasłoni!

— Nic nie widać... Ale proszę Pana, wieleżto się tu płaci za milę takich srebrników?

— I, dowiesz się jak ci każą zapłacić... a co czy jeszcze nic nie widać?

— Toć się tam coś kurzy z daleka.

— Doprawdy?

— A tak.

— Prr.... i stanął. Cóż takiego? czegóż stajesz kiedy mi właśnie pilno jechać?

— Bicz mi się w koło okręcił?

— A widać tam jeszcze kurz?

— Widać. Ale proszę Pana, któżto jechał w tym pojeździe?

— Albo ja wiem?

— A pocóż pan każe tak gonić, kiedy pan nie wie!

— Co ci do tego? cóż tedy widać za tym kurzem?

— Krowy i pastucha, nie, nie, pono pare wołów i konia, ale nie wiem kto na nim siedzi, czy chłop czy kto inny, toć doprawdy dziewka, proszę Pana....

— I daj mi tam pokój z twemi wołmi, z twoim koniem i dziewką, uważaj też czy nieznać kolei tego pojazdu i gdzie się obraca.

— Ale tak, kiedy tu wszystkie pojazdy, bryki i wozy połtoracznią kolej mają i wszystkie szybowane. Coto za bryki, patrzajno Pan, niby pudełka białém płótnem pokryte.

Więc i kolei nie znać... Tu przestałem rozmowę, która mię w niecierpliwość wprawiła; słaba

była nadzieja dogonienia pojazdu... Ale poco gonić, i na cóż się to przyda? choćbym go i dogonił, to się na tém skończy, że jeszcze raz tę tak przyjemną twarz zobaczę, że się ukłonię, że może na mój ukłon zważać nie będą; że ja pojadę w lewo, a oni w prawo i po wszystkiemu.

Ale czemuż tak ma być koniecznie? Może będę szczęśliwszy; dajmy na to, psuje się coś u karety, pęka oś, ja doganiam pojazd, niosę pomoc w zdarzonym przypadku, szukam rzemieślnika, godzę się, pilnuję roboty, pomagam sam, zachęcam do pośpiechu robiących; już pojazd naprawiony, dziękuje mi śliczna dama bardzo uprzejmie, siada do pojazdu i... tak, odjeżdża znowu w lewo, a ja w prawo. A czemużbym ja nie miał jechać w prawo; wszakże jadę tylko dla zabawy bez żadnego celu, cóżtoby szkodziło, gdybym też za tym pojazdem pojechał? Zapewne ta Pani jedzie do wód jakich, wszakże się tam dobrze zwykle bawią. Tambym się z nią niezawodnie poznał... a potém kto wie? może to wdowa albo rozwódka, może panna, któréj matki nie postrzegłem w pojeździe... Ach czemuż nie mogę ich dogonić, do prawdy żebym zboczył; tyle wdzięków, tyle przyjemności; a potém położenie romantyczne w okolicach górzystych, nieczynność, oddalenie od wszelkich kłopotów, wśród cudzoziemców piękność z mojéj ojczyzny; kto wie coby się stać mogło... A Emilia! wszakżem dał sobie samemu słowo że się z nikim nie ożenię, jeżeli ona moją być nie może... Emilia dawno za mę-

żem, a słowo ... to było sobie tylko dane w pierwszym żalu ... ale bo też było czego żałować, tyle wdzięków, tyle dobrych przymiotów. O Emilio! czemużeś nie poszła za natchnieniem serca, lecz za wolą rodziców? Poświęciłaś uczucie własne ich upodobaniu i szczęściu może... szczęściu, dla czegożbym ja nie mógł był uszczęśliwić jéj rodziców? czyliż ich szczęście zależało na tym czczym tytule, którego ich córka z pojęciem starego męża pozyskała? a czemuż nie, skoro sobie tak wyobrażali? każdy ma swój sposób widzenia: tak, ale szczęśliwości córki upodobaniu własnemu poświęcać nie należało; a jakże ja bym był teraz szczęśliwym! nie szukałbym roztargnienia po drogach, po obcych krajach, między obcymi ludźmi, moje wiejskie ustronie byłoby światem dla mnie, a Emilia całém towarzystwem; przy niéj mógłbym zapomnieć o wszystkiém, a teraz nigdy jéj z pamięci.....

— Panie!

— I cóż tam znowu?

— Oto stoi pojazd.

— Doprawdy? Stańże, stań; wytchnijmy koniom. — Stanął, zesiadł i koło koni krzątać się zaczął, a ja ciekawością zdjęty chcąc się dowiedzieć, który z moich domysłów względem stanu mojéj damy był prawdziwym, wysiadam i zachodzę niby z niechcenia przed pojazd, patrzę najprzód w przeciwną stronę, a potém obracam się niby przypadkiem, zaglądam ukradkiem do karety i widzę... okrągłéj sytuacyi około pięćdzie-

siątletnią figurę, zajętą właśnie posilaniem się szklanką piwa; głowa łysa zapudrowana, twarz ogromna, oczy małe, nos do ust końcem zbliżony, spodnia warga brody bliska... więc to jest najukochańszy małżonek téj slicznéj damy, która właśnie z dobrocią odbiera wypróżnione i bez wyrzeczenia słowa oddane sobie naczynie, aby je służącemu podać. „Więc to jest mąż téj Pani“ westchnąłem sobie patrząc smutnie na te dwie osoby tak mało do siebie podobne.

Ruszył ich pojazd, a ja stałem jeszcze i poglądałem za nimi, jak gdybym żałował, że mi moje marzenia i nadzieje porwali. Jakto ucieka przedemną, tylko koléj jeszcze zostaje; i ten ślad zniknie, lada wóz go zatrze. Ale ja też zabawny jestem z moim domysłem; wbiłem sobie w głowę, że to jest jéj mąż, a dlaczegóżby on to jéj ojcem być nie mógł? Tak jest, to jest jéj ojciec. Pawle siadaj prędko, jedźmy za pojazdem.

— A toć go Pan miał tutaj, czemuż Pan nie mówił z Państwem, które w nim siedzi?

— Czemu? a to dobre.... alboż to... ale pocóż się mam tłumaczyć.... no daléj, siadajcieno.

— Zaraz, tylko zapłacę. Proszę pana co znaczą te dydki? toć oni mię zedrą, jeżeli ja tego nie będę wiedział.

— Co znaczą? oto dziewięć na złoty.

— A wieleż będzie na półzłotka?

— Niech ci to wytłumaczy ten co te dydki... chciałem głupstwo z niecierpliwości po-

wiedzieć. Nie chcąc tracić czasu zapłaciłem więcéj jak się należało i ruszyłem gonić córkę tego dobrze wypielęgnowanego staruszka, który już nie był tak brzydkim w moich oczach i który nawet wiele miał przyjemności w spojrzeniu: i tym razem tak mi się dobrze pogoń udała, iż o jednym czasie z tamtym powozem stanąłem w Wrocławiu i do jednegoż z nim zajechałem hotelu.

ROZDZIAŁ VIII.

Okno.

— Ja tego pokoju nie chcę, rzekłem do służącéj, która mnie na drugie piętro zaprowadziła, a ja koniecznie chciałem stać na pierwszém; nie dla dogodzenia próżności, nie w chęci płacenia więcéj, ale dla tego, że ów ojciec z córką tam stanął.

— Dla czegóż się Panu ten pokój nie podoba? wszakże czysty i porządny. —

— Dla czego? Okna na podwórze, wiele schodów, zatém i nudno i niewygodnie.

— Więc bardzo żałujemy że Pana pomieścić nie możemy, bo innego nie masz pokoju, nie tylko na pierwszém piętrze ale nigdzie.

I trzyma za klamkę otwartych drzwi, co miało znaczyć: niech się Pan wynosi, kiedy mu

się nie podoba; właśnie też jak gdybym miał puścić jedyną sposobność poznania się z moją sąsiadką. Lepiéj na drugiém pietrze jak na drugiéj ulicy.

— Nie chce mi się już szukać, odpowiedziałem i zająłem wskazane sobie mieszkanie.

Zeby przynajmniéj można było widzieć sień całą, korytarz pierwszego piętra, toby się łatwiéj było spotkać, wychodząc umyślnie z mego mieszkania wtedy gdybym widział wychodzących lub wchodzących do sieni: ale tu nie masz żadnéj kommunikacyi, żadnéj szczęśliwéj sposobności widzenia się.

— Zeby to Pan wiedział, rzekł Paweł wchodząc z rzeczami, jaka śliczna panna z Polski tutaj zajechała.

— Co? tym pojazdem cośmy go gonili.

— Z tym.

— A gdzieżeś ją widział?

— A jak zsiadała, było jéj trudno zleźć i ja jéj rękę podałem....

— Co? ty? — No proszę — pomyślałem sobie — ten niezdara szczęśliwszy znowu odemnie, i kiedym ja się tu niepotrzebnie drożył o przyjęcie téj stancyi, to on wtedy miał szczęście...

— Bodajto Polka, toto takie żwawe; zaraz jak tylkom ją zsadził, podziękowała mi z uśmiechem i zaraz ze mną o naszych stronach trzepać zaczęła.

— Z tobą? z tobą mazgaju?

— A czemużbyto ona nie miała ze mną gadać. a cóżto ona lepszego odemnie?

— Lepszego!...

— A tak, ja pański sługa, a ona panna służąca tego państwa co karetą przyjechali; a choćby za to żem ją z wysoko wypakowanéj bryki zsadził, to już warto było zemną pogadać.

Nie umiałem odpowiedzieć na to, bo zaślepienie moje było zanadto wielkie, ażebym mógł się przyznać do omyłki bez zawstydzenia. Ale wśród tego pomieszania nie straciłem jednak z uwagi głównego przedmiotu i zapytałem się Pawła, czego się dowiedział o tém państwie.

— Ja, widzi Pan, nie śmiałem jéj się pytać tak wręcz: kto ona jest, u kogo służy? ale odpowiedziałem jéj na wszystkie zapytania: Skąd jesteśmy, jak się Pan nazywa, dokąd jedziemy, czy długo tu zabawimy?

— A nie mógłżeś ty się też pytać?...

— Ledwo miałem czas odpowiedzieć, a potem znowu nie śmiałem, bo ona miała tak coś pańskiego w sobie.

Proszę, pomyślałem sobie, to i na takich ludziach wyższość niewiast pewne wrażenie czyni. Pan Paweł był nieśmiałym i przerażonym poniekąd szlachetnością panny garderobiany. To myśląc siadłem sobie w oknie, z którego przed sobą cztery ściany i kilkadziesiąt okien widziałem. Ciekawąby była podróż po tych oknach, ale na to trzebaby być djabłem kulawym, a przynajmniéj

Lesażem. Ale cóż tam widać za cudną twarzyczkę na pierwszém piętrze? „To ona“ zawołał Paweł z drugiego okna skazując palcem. Rozgniewałem się o ten dowód głupoty i nieobyczajności, kazałem się oddalić Pawłowi i sam nie chcąc się wydać z tém, iż z mego okna obserwacye czynić można, oddaliłem się od niego i stanąwszy za spuszczoną firanką patrzałem przez zostawioną szparę na to co się naprzeciwko działo.

Wkrótce po służącéj przybyła Pani. To ona, do prawdy że ona, Paweł nie kłamał. Siada przed lustrem w samém oknie na stoliku postawioném. Co za nieostrożność! to ją może kto wypatrzyć, jaki niedyskretny sąsiad z mojéj strony; a jak spostrzeże, to może okno zasłoni, a wtenczas to i ja nic widzieć nie będę. Więc mnie wolno a innemu nie? ale wszakżem ja się też umyślnie za firankę schował. Zdejmuje czépek, co za śliczne włosy, zdaje się być bardzo zmęczona z podróży, ociera kurz z czoła, a przytém podobno i łzę ukradkiem przed służącą, która się oddaliła. Ach dla Boga, cóż jéj to być może? zapewne ojciec, z którym jedzie do wód, jest niebezpiecznym, musi się taić przed nim, a tu w samotności łzy nad jego niebezpieczeństwem roni tkliwa córka, jakże piękniejszą jest za to w oczach moich! Służąca czesze jéj rozplecione warkocze; co za cudny wyraz melancholijnéj czułości na téj twarzy; wlepia oczy w lustro, ale zdaje się że tam nic widzieć nie może, bo to

jest wzrok głębokiego zamyślenia. Uśmiech osiada na ustach; ach ten uśmiech nie jest wyrazem pociechy, maluje się w nim pewne ulitowanie się nad sobą, lub wspomnienie nieuiszczonych marzeń i nadziei. Ale gdzie tam; dla niéj się dopiero obszerny zawód nadziei otwiera, ja źle tłumaczę poruszenia jéj twarzy. Znowu łza wymknęła się z powiek i płynie po licach; co to być może? Zdejmuje papiloty, trefi włosy w lustrze, a jakże się pięknie te białe delikatne palce wśród czarnych pierścieni uwijają! jak z niechcenia i zwolna układa te ślniące się włosy, jak zręcznie rozdziela je nad czołem, zdaje się jak gdyby nie miała upodobania w strojeniu się, a jednakże wszystko z takim gustem, tak do twarzy dla siebie układa. O kobiety, kobiety! chęć przypodobania się tak wam jest właściwą, że jéj poniekąd mimowolnie hołdujecie. Ale jaka ujmująca teraz; uśmiechnęła się do siebie, nieco weselszém okiem spojrzała na siebie, nie mogła się oprzeć własnym wdziękom; lecz znowu zasępione czoło, wzrok spuszczony.... Co to wszystko być może?

Wstaje; czy odejdzie? o nie, nie odchódź, błagam cię, nie odmawiaj mi niewinnéj rozkoszy przypatrywania się twoim wdziękom... Ach kto wie, może... Ale co widzę! zdejmuje szal, co za śliczna szyja, jaka płeć zachwycająca, patrzę drżący cały, zatrzymuję dech, obawiając się aby mnie nie usłyszano, chociaż tak daleko jestem; niedosyć dobrze widać, nachylam się naprzód, trzymam się za firankę, brr.... a bogdajże cię!

oberwała się ze wszystkiém, drąg mię w głowę uderzył, stłukł szybę spadając, narobił hałasu, a tam zasunięto firankę u okna.... a ja nieszczęśliwy!

ROZDZIAŁ IX.

Mniemany Ojciec.

Siedziałem już od kwadransa na kanapie lecząc guz otrzymany noża przykładaniem i myśląc o przeciwieństwie, które mi tyle powabów porwało, a w zamian tak niepotrzebny dodatek głowie mojéj dało; gdy markier wszedł zapytując mi się, gdziebym chciał jeść, czy à *table d'hôte* czy w stancyi, gdyż już dawno na obiad dzwoniono. Ja w mojém pomieszaniu dzwonienia nie słyszałem, a choćbym je był słyszał, trudno się było domyśleć, że to był znak do obiadu. Mój guz obstawał za jedzeniem w stancyi, chęć widzenia ludzi i wątła nadzieja spotkania ślicznéj sąsiadki przemogły za *table d'hôte*, więc wyszedłem z markierem.

Wchodząc starałem się przybrać ową minę przewagi i znaczenia, którą my Polacy, podobni

do aktorów co królów grają, tak zręcznie i tak często, a zwłaszcza za granicą, przybierać umiemy; nie chciałem bowiem tym razem uchodzić za cudzoziemca w oczach ziomków. Zająwszy miejsce sobie zostawione, przebiegam ciekawém okiem wszystkie twarze, czy też między niemi jedynie mnie teraz zajmującéj nie spostrzegę. Są wprawdzie damy i stare bez kokieteryi i młode bez wymuszonéj skromności, wszystkie więcéj talerzem jak sąsiadami zajęte, ale téj którą i w sercu i na głowie czuję, nie masz. Ale oto i Jegomość Dobrodziéj, siedzi naprzeciw mnie i pogląda przymrużoném okiem na półmisek, który zbyt jeszcze od niego jest daleko, aby mógł rozpoznać co się na nim znajduje.

Jakże tu z nim zacząć; jakże mu dać poznać, że ja jestem jego ziomkiem. Ani spuści oka z półmiska, ani spojrzy na mnie; aleć przecież przyjdzie i na niego koléj; już mu go podają.

— A niech was djabli wezmą, mruknął sobie, wszakżem powiedział, że to będzie wieprzowina.

Ten wykrzyknik niechęci był dla mnie sposobnością rozpoczęcia rozmowy, chociaż mało do tego czasu miałem, gdyż mię sąsiedzi o dwie potrawy wyprzedzili.

— Waćpan Dobrodziéj widzę jesteś ziomkiem moim, rzekłem skłaniając mu sie nieco.

Przymrużył oczy, patrzy się na mnie, chce poznać, ale na próżno, bo mnie nie zna. — „Z kim-

że mam honor mówić? rzekł z miną kwaśną, któréj nie do gustu przyprawiona potrawka przyczyną była.

Nie miałem żadnego powodu do tajenia mego nazwiska, więc je prześlabizowałem wyraźnie.

— A dokąd Pan jedzie? — dodał patrząc na talerz, po którym naprózno smacznego kawałka grabką szukał.

— Do Drezna.

— A niech ich tam licho ciężkie porwie, z ich jedzeniem — zawołał rzucając grabkę — jabym tu wkrótce umarł z głodu, jeszczem niczego do ust wziąść nie mógł. Nie chciało mi się subiekcyi kazać gotować w stancyi memu kucharzowi, a z resztąby może na to nie przystali, i przyszedłem na ten obiad, chociaż mi żona przepowiedziała że będę głodny.

Ten nieszczęśliwy wyraz *żona* był przyczyną, żem się zachłysnął winem, które właśnie piłem; lecz to był także pomyślny wypadek, który mi dał sposobność pokrycia pomieszania, jakieby niezawodnie na mojéj twarzy było osiadło, gdyby nieprzyjemnemi giestami zakrztuszenia i odkaszlenia zajętą nie była.

— Niech Pan przeje kawałek chleba.

— To nic nie pomoże . . . . Temu już nikt nie zaradzi.

— Jakto nikt? albożto się Pan udawił.

— Nie, nie, ja chciałem powiedzieć, że to samo minie; i przestałem mówić, z obawy aże-

bym znowu jakiéj niedorzeczności nie powiedział. Ale myśleć i patrzeć nikt mi nie bronił. Co za harmonia tych nabrzmiałych wypukłości czoła, policzków, nosa, warg i brody, z owemi regularnemi rysami twarzy; między tém spojrzeniem przykrém i chciwém, a owém pogodném okiem, które mgła smutku tak często niestety pokrywa! Jakato może być zgodność uczuć między tym tak o własną osobę dbałym mężulem, a ową tkliwą małżonką.

— Ja chciałem koniecznie żeby moja żona ze mną tu przyszła, — rzekł daléj, ale te kobiety zawsze mają tyle grymasów. Zdawało jéj się, że to nie wypada jeść damie á table d'hôte; potém przystała już, ale tak się znowu zaczęła guzdrać przy toalecie, iż zniecierpliwiony sam przyszedłem w obawie, aby mię nie odjedli.

Chciałem stanąć w obronie małżonki; ale pomyślawszy sobie, że to nie będzie dobry sposób zrobienia bliższéj znajomości, zacząłem potakiwać, aby sobie łaski pańskie uskarbić. Rozwodziliśmy się obszernie i dowolnie nad przywarami niewieściemi; ja jednakże mówiłem nieco ciszéj w obawie, aby się kto taki przy stole nie znajdował, któryby rozumiejąc nasz język fałszywe o mnie mógł powziąść wyobrażenie. Mój kolega tak był ze mnie kontent, że mi kieliszek wina ofiarował, i zapomniawszy o złym obiedzie tak się rozweselił, że się z całym swoim sposobem myślenia przedemną wynurzył. Dowiedziałem się, że jego, jak mówił, *nieznośnie roman-*

sowa małżonka była osobą dobrego urodzenia, która najlepsze odebrała wychowanie, lecz żadnego nie wniosła posagu; a pomimo że on ją uszczęśliwił, zawsze tylko wzdycha i czasem szlocha, sama nie wie czego, bo jéj nigdy na niczem nie zbywa.

— Bo trzeba Panu wiedzieć — dodał w końcu — że ja się mam dobrze, lubię żyć porządnie i wygodnie, i chciałbym aby się moja żona przecież pokazała światu w pewnéj okazałości. Długo żyłem w kawalerskim stanie i nie myślałem się wcale ożenić, ale kiedym już raz to głupstwo zrobił, tobym przecież chciał, żeby ludzie chwalili moją żonę. A trzeba Panu wiedzieć, że ja sam nie wiem jak do téj żony przyszedłem. Jéj rodzice mieszkali w mojém sąsiedztwie, byli w interessach po uszy i chcieli się ratować; więc mnie różnemi sposobami do siebie zwabiali. On to był człowiek ludzki i tak dosyć zgodnego humoru zemną, lubiłem bywać u niego, bo miałem zawsze gotową partyjkę wista w jego domu; a trzeba Panu wiedzieć, że ja mam miękkie serce które się łatwo tém i owém zajmie, więc grywając tedy wista z nimi, podobała mi się dziewczyna, i tak mię oczarowała, żem się jéj oświadczył. Tego im też trzeba było; zaraz dostał odprawkę młody kawaler, który był prawda uczciwy chłopiec, dorodny i dobrze wychowany, ale miał tylko jednę wioskę, a przeto nie mógł być tak dobrą partyą dla panny jak ja; bo trzeba panu wiedzieć, że nie jedni rodzice wiele

zabiegów czynili o to, abym ja się o ich córkę starał. Więc z tego możesz Pan miarkować, jak dalece ja moją żonę uszczęśliwiłem; a jednakże ona zdaje się nieznać tego i tak się zawsze nie wiedzieć czém martwi, że aż na tém jéj zdrowie ucierpiało, tak dalece, iż jéj doktorowie do wód jechać kazali; a że lubię wody dla rozrywki, więc bardzo chętnie na tę podróż przystałem.

Milczałem, bo mi brakło wyrażeń do odpowiedzi; mogłem rozprawiać o kobietach w ogólności, ale nie mogłem urągać się z nieszczęśliwéj ofiary posłuszeństwa swego i chiwości rodziców. Trzeba być bardzo zaprawnym w obłudzie, ażeby bez zająknienia przeciwko natchnieniu serca mówić. Trudno mi było ukryć prawdziwy stan mego umysłu i mając dosyć mocy nad sobą, aby nie wyjawić niechęci, którą byłem przejęty, milczałem i pewien wyraz smutku osiadł na méj twarzy. Nie uderzył on szczęściem tego, który na ludzi tak jak na posągi patrzał i z poruszeń twarzy żadnych wniosków o stanie duszy czynić nie umiał. Zostaliśmy w najlepszém porozumieniu i nad wszelkie zasługi tak mię polubił, iż po skończonym obiedzie zabrał mię z sobą do swego mieszkania, dla tego ażebym go przecież rozweselał i zły humor żony jego rozpędzać dopomagał.

Łatwo się domyśleć jak chętnie przyjąłem ofiarowane sobie pośrednictwo do zrobienia znajomości z tą nieszczęśliwą małżonką, którą ja sobie tkliwą córką wyobrażałem. Przyjęła mnie

uprzejmie, lecz z tą skromnością, która równie była daleką od zbytniéj oziębłości jak od uprzedzającéj grzeczności. Ja byłem nieśmiały; stawałem bowiem przed nią w postaci dwoistego winowajcy: który raz poważył się sledzić ją wtedy gdy od wszelkiego wzroku bespieczną się być sądziła, i który drugi raz śmiał potakiwać mężowi o niéj źle mówiącemu. Wyrzuty sumienia wystąpiły na twarz moję w postaci rumieńca, unikałem z razu spotkania jéj oczu dla tego żem się lękał spostrzedz w nich sędziego. A do tego wszystkiego byłem przedstawiony od godnego mężula, który jak na złość niezasłużonych pochwał mi nie szczędził.

Gdy on skończył długą dyssertacyą nad złém jedzeniem w oberży i w całych Niemczech, i ubolewanie nad niedopełnieniem zwyczajnéj miary dobrego apetytu, zwróciła się rozmowa ku innym przedmiotom. Mówiono najprzód o mieście Wrocławiu, o wodach, o przyjemności odbywania podróży i o tych wszystkich nieustannie powtarzanych przedmiotach, przy których pytania i odpowiedzi obudwom rozmowę prowadzącym stronom zarówno są znane, i o którychby się tylko z piękną kobietą godziło mówić, wtedy gdy nie możemy znaleźć innego sposobu zawiązania z nią rozmowy, aby usłyszeć jéj organ, przypatrzyć się białym i równym zębom, i aby mieć powód zwracania oczu naszych na wdzięki które nas zajmują.

Gdy przyszło na mnie oświadczyć cel po-

dróży mojéj, rzekłem między innemi: iż podobny do Yoryka, tém się tylko w całéj mojéj wędrówce zajmuję, co do czucia mego przemawia; że nie otwieram ani ust ani oczu żeby się nad arcydziełem człowieka zdumiewać, lub po murach i papierach pomników niedorzeczności i złości jego szukać; lecz że w ludziach i w otaczającéj ich naturze, chcę śledzić tych znamion piękności, któremi twórca wszystkie dzieła swoje naznaczył i pokrzepiać ciągle umysł widokiem dobrego i pięknego.

Te słowa uczyniły szczególniejsze wrażenie na Matyldzie (bo takie było jéj imie). Z jéj twarzy widać było, iż ją to mocno dziwiło że człowiek, który się umiał mężowi podobać, o uczuciach i o piękności rozprawia i że czytał coś więcéj jak dziennik wojewódzki i gazetę. Ucieszyło mię to dostrzeżenie, które następująca rozmowa potwierdziła.

— Jeżeli Pan w tym celu obce chcesz zwiedzać kraje, musisz się w szczególną przenikliwość uzbroić, abyś zawsze dosyć wcześnie umiał uniknąć tych ludzi i te przedmioty, które przykre tylko wrażenia wzbudzić mogą.

— Co do przenikliwości, tą się szczycić nie mogę, odpowiedziałem wspominając sobie na szory i biczysko, na szynkarkę, na znajomość granicy, i patrząc na mniemanego ojca, który zaczynał zmrużać oczy i mimowolnie naszéj potakiwać powieści — ale — dodałem — rozumiem, że samo czucie zawsze mi za dobrego przewodnika posłuży.

— Czucie zbyt nas często za złém lub dobrém uprzedza, ażebyśmy zawsze z pewnością za niém postępować mogli. Zanadto jesteśmy skłonni do uniesień chwilowych, ażebyśmy rozwadze nad sobą przemódz dozwolili i dlatego bardzo często zostajemy w błędzie, wtedy gdy tylko czucia naszego słuchamy.

—To prawda, lecz Pani raczysz przyznać, że piękność zawsze przyjemne, równie jak ochyda zawsze przykre wrażenie na nas czyni.

— Ach jakże często ukryta jest szpetność pod urokiem piękności; jak się często zdarza, że gdy poddając uczucie rozsądkowi poświęcamy przyjemność powierzchownego powabu rzetelnym przymiotom, zawiedzeni bywamy w oczekiwaniu naszém i nie znajdujemy tego, dla czegośmy wyobrażenie nawet przyjemności postradali. —

Zrozumiałem ja dobrze znaczenie téj ostatniéj myśli, lecz nie chciałem się wydać z mojém dostrzeżeniem i rozwodzić się dłużéj nad tym przedmiotem, gdyż widziałem z twarzy Matyldy, że to prawie mimowolnie wyrzekła, i że się obawiała, abym nie dostrzegł téj alluzyi, którą ona w duszy uczyniła, zapominając poniekąd o tém że głośno myślała.

Po krótkiém milczeniu dodała: Pan zapewnie piszesz dziennik swojéj podróży.

— Lubię zachować pamięć zdarzeń i osób, które przyjemne na mnie uczyniły wrażenie.

— Ogłosisz może kiedyś drukiem tę podróż twoję?

— Wyznaję iż się może téj pokusie nie oprę, chociaż wiem dobrze, że autor, który się z własnemi uczuciami całéj publiczności zwierza, najczęściéj podobnym jest do tego, co przez omyłkę fałszywy adres na kilku listach podpisuje i wcale je przeciwnie korrespondentom swoim doręcza. Ale ponieważ się człowiek zawsze z najpowabniejszą dla siebie nadzieją pieści, i ja też rozumiem, iż jeżeli kiedy rozdam między publiczność przekazy do mego sposobu myślenia, może nie na każdym przecież fałszywy adres napiszę.

Uśmiechnęłą się na to Matylda z ową miną, która miała znaczyć, *biedny autorze mylisz się w twojém oczekiwaniu.* Mówiliśmy daléj o autorach, którzy w tym rodzaju pisali, i przechodząc koleją od niezrównanego Sterna, do tych którzy przez naśladowania swoje dowiedli, jak trudną była droga po któréj on z taką łatwością chodził; przyszło nam mówić nakoniec o pewnym francuzkim pisarzu, *który podróż około pokoju napisał.*

— Jest tam jednak wiele rzeczy dobrych, rzekła Matylda. Nie wiem czy Pan sobie przypominasz jednę myśl, która mi się bardzo podobała. Autor czyni uwagi nad obrazem, do którego w téj podróży swojéj z kolei doszedł, wyobrażającym Karolinę ocierającą z kurzu pistolety, które ma Werterowi przesłać, i zimnego Alberta, który żadnego znaczenia do téj czynności przywiązać nie umié; te uwagi kończy autor tém zda-

niem „Ale któż też w życiu na swego Alberta nie natrafił?“

Te wyrazy w uniesieniu przez Matyldę wyrzeczone, nadały jéj twarzy wyraz melancholijny, lecz zarazem ozdobiły ją rumieńcem, gdyż zdawała obawiać się, ażebym całego ich znaczenia nie zrozumiał. Ja milczałem czyniąc uwagi nad tém, jak myśl, która nas trapi, za każdą się najdrobniejszą okolicznością wyjawia; jak my w tém wszystkiém co nas otacza, to tylko widzimy co najbardziéj téj myśli odpowiada... Lecz Jegomość Dobrodziéj kiwnął się bardziéj jak dotąd, chrapnął raz mocno i obudził nas wszystkich i siebie razem z rozmaitego bardzo marzenia.

ROZDZIAŁ X.

Mopsik.

Spocznijmy w tém ustroniu; te skały na około nas sterczące, te posępne świrki, które je wieńczą, ten mruczący strumyk w dolinie, wszystko melancholijne czucia w sercu wzbudza. Ach Matyldo! czemuż cię losy nie dla mnie przeznaczyły! W obec tych zadziwiających piękności przyrodzenia, które nas otaczają, wielbię twoje wdzięki i to anielskie czucie, które je niepojętym urokiem otacza. Pozwól, niech u nóg twoich wyznam i błąd mój i gwałtowność namiętności, która mną miota. Biorę ją za rękę, czuję jéj drżenie, łzą zalane oko smutno na mnie pogląda, nic nie odpowiada, lecz ręka jéj spoczywa w mych dłoniach, dzieli wzruszenia mego serca. — Ach Matyldo, wyrzeknij jedno słowo tylko, ukończ moje tęsknoty! miłość nam poda sposoby zerwania związku, który goryczą życie twoje truje...

A pójdziesz! czy ciebie licho nadało, co za natrętne psisko; łasi się i wije koło mojéj nogi i taki pokorny, chce koniecznie abym go pogłaskał; dobre zwierze nie dasz się odstraszyć fukaniem, liżesz rękę, która cię uderzyć chciała. Ale boś też do mnie z twojém przymilaniem się w najgorszéj porze przyszedł; dobry mopsiku, ja właśnie miałem umysł najpiękniejszém marzeniem zajęty; siedząc w ławce pod krzakiem bzu na tym pięknym pagórku świeżemi zakładami ozdobionym, z którego wśród wesołéj okolicy widać z daleka, jak mgłę lekką, wznoszący się w obłoki wyniosły Zottenberg, myślałem o powabnéj Matyldzie, którą niedawno opuścić musiałem. Jakże o niéj nie myśleć, jakże nie uledz omamieniu szczęśliwych zawsze marzeń, wtedy gdy pięknościami przyrodzenia przepełnione serce za takiém tęskni, któreby równie jak nasze biło.

Ten błękit góry tak lekko od światła gasnącéj zorzy odcieniony, zajmując oko pięknością obrazu, przeprowadził myśl moję pomiędzy skały. Matylda towarzyszyła mi w przechadzce, obrałem sobie ciche miejsce spoczynku i już miałem usłyszeć wyrok dozgonnego szczęścia mego; kiedyś ty tu nadbiegł mopsiku. Ale ja będę wspaniałym. O jak się raduje, jaki szczęśliw żem go pogłaskał! czegóż odbiegasz tak prędko? A ha! jakaś piękność twojego rodu znęciła ciebie. O jaki kontent, jak przyskakuje, grzebie nogami, odbiega, przybiega, stawa naprzeciw niéj.....

a widzisz ty niegodziwy mopsiku, żebym ja też teraz wstał i pogroził wam kijem!

A jakże śliczne niebo przy zachodzie słońca, ta góra jak cudnie się odcienia od gorąca horyzontu; chciałbym być na niéj, ale nie sam, z tobą, z tobą Matyldo, tak jak niedawno, póki trwało moje marzenie.

Ten dzień policzę między szczęśliwsze życia. Pozwoliłaś abym ci służył za przewodnika w oglądaniu niektórych ciekawości miejscowych, i Jegomość Dobrodziéj o to mię prosił chcąc sobie oszczędzić fatygi. Czuję jeszcze lekkie ciśnienie twego ramienia na tém ręku, zdaje mi się że słyszę głos twój zajmujący. Z jaką szczerą pokorą uklękłaś w owym kościele przed ołtarzem Boga, gdym się ja śmiałości sklepień i zabytkom starożytnym przypatrywał; jakżem się czuł poniżonym własną nieczułością, gdym na ciebie spojrzał! Czemużem za twoim przykładem nie padł na kolana i nie umiał się natchnąć tém szczytném uczuciem prawdziwéj religii, które w całéj twojéj postawie jaśniało? Nie miałem na to dosyć mocy nad sobą, nie umiałem czuć tak prosto, tak szczerze jak ty, i uznałem niższość moję gdym siebie z tobą porównał. Krótka modlitwa wypogodziła piękną twarz twoją, wyraz pocieszenia ozdobił ją nowym wdziękiem, ja w nim sędziego i karę dla siebie widziałem; bo i ja mógłbym był takiéj jak ty używać pociechy. O kobiety! ileżbyścieto w nas, roztargnionych gwarem świata,

szczytnych i cnotliwych uczuć wzbudzać mogły, gdybyście zawsze tylko za natchnieniem prostoty i tkliwego serca postępować chciały.

Przechodziliśmy wracając z ogrodu botanicznego koło instytutu ślepych. Wstąpmy tutaj, rzekła Matylda, przypatrzmy się dziełom dobrze kierowanéj dobroczynności. W zamkniętém podwórzu jest dom bardzo porządny i jako najczyściéj utrzymywany, na dole umieszczono szkołę ślepych, na pierwszém piętrze warsztaty, salkę muzyki i izby sypialne: wszędzie są poręcze przy murach, przewodniki nieszczęśliwych mieszkańców tego domu. Naczelnikiem tego instytutu był ślepy z urodzenia uczeń instytutu Berlińskiego*). Zastaliśmy go otoczonego uczniami płci obojéj, których on do wyobrażeń prostych o rzeczach tą drogą doprowadzał, jaką sam do nich doszedł. Mappa, rodzaj płaskorzeźby, na któréj granice państw aftowanym ściegiem, góry gwoździkami, rzeki gęsto nabitemi drobnemi sztyfcikami, a miasta osobnemi sztyftami są oznaczone, ruchome i wypukłe litery na tablicy w różnych kierunkach układać się mogące, służące do dania wyobrażenia pisma; blaszane figury do geometryi, stereometryi i trygonometryi i inne tym podobne sposoby przeprowadzenia do duszy za pomocą dotykania tych wyobrażeń, które oko tak łatwo tamże prze-

*) Professor Knie, autor dzieła: O sposobie nauczenia ślepych.

nosi. Oto są sposoby osłodzenia losu osób pozbawionych wzroku, ułatwiając im wstęp do zawodu nauk i oświecenia. I tą drogą może człowiek zmierzać do udoskonalenia własnego. Przewodnik téj szkoły niewidomy od urodzenia jest tego dowodem; biegły w niektórych naukach, wydał on dzieło nad sposobem uczenia ślepych, i z równą słodyczą jak gorliwością pracuje nad osłodzeniem losu równie sobie nieszczęśliwych. Matylda była przejęta czuciem uwielbienia dla tego godnego nauczyciela i rozrzewniona widokiem tych, dla których wyobrażenie piękności na zawsze obcém być musi. Najbardziéj ją rozczuliło śpiewanie choralne ślepych w sali muzycznéj dla naszego przybycia na prędce urządzone. „Odejdźmy już, rzekła do mnie — po śpiewie dorodnego młodzieńca, który z większém od innych czuciem piękną odśpiewał aryą — mnie to zanadto smuci, nie mogę tutaj dłużéj pozostać.“ I wyszła obdarzając karbonę hojnym datkiem, tym bardziéj przejęta uwielbieniem dla tego dobroczynnego instytutu, że jedynie dobrowolnym ofiarom okolicznych obywateli winien był założenie swoje.

I na tymtu pagórku byłaś jeszcze zemną Matyldo, i nauczyłaś mię patrzyć się na to mgliste oddalenie, które tutaj tak mile zajmuje oko a z bliska ogromem swoim przeraża. Musiałem cię opuścić u drzwi twego mieszkania, nie chciałem być natrętnym, i postradawszy na zawsze może społeczeństwo twoje przybiegłem nazad do tego wzgórka, abym wznowił w pamięci przyjemne

chwile dnia całego, i abym twój obraz ze wszystkiém tém co mnie otacza widział.

— Co? znowu przy mnie wesoły mopsiku, znowu się do mnie radujesz; ale tym razem podobno nie sam jesteś, to pewnie Pani twoja za tobą idzie. Odwraca się odemnie; mniejsza o to, chociażby się i patrzała na mnie, to mi nie zdoła wrócić wspomnienia Matyldy. Ale nie, nie mija mnie, i owszem siada na mojéj ławce na drugim jéj końcu; więc to był wybieg wojenny: pani się odwracała dla tego ażeby większą wzbudzić ciekawość: a teraz nie uczyniwszy do razu wrażenia zbliżyłaś się do mnie; otóż i ja się będę drożył; patrzę się na ziemię, rysuję figury kijkiem po piasku, a mopsik przyskakuje do laseczki i zaciera moje rysy.

— Ami, zawołała sąsiadka tonem strofującym pieska i przekonała mię, iż jego panią była. To osobliwsza, więc ten mopsik prawdziwym jest przyjacielem, kiedy Pani swojéj do ułatwienia znajomości dopomaga; ja bowiem stanąłem w obronie pieska i to dało powód do rozmowy między nami. Mówiliśmy najprzód o piesku, późniéj o sobie samych; ja wygadałem się po prostu z tém że byłem cudzoziemcem, czego się z resztą łatwo było domyśleć, i to było powodem do tego, że się sąsiadka poprawiła na ławce i o dwa cale do mnie zbliżyła. Przestałem i ja patrzeć na hieroglify, którem kreślił a pies zacierał; lecz spojrzałem damie w oczy, które się bardzo śmiało lecz z pewnym wdziękiem z mojemi spotkały.

Dama zaczęła mówić o piękności wieczora, unosić się nad powabem otaczającéj nas okolicy, i zręcznie bardzo poruszenie oczu z lekkim uśmiechem w harmonii utrzymywać umiała. Cieszyło mię to dostrzeżenie, iż umie czuć piękności przyrodzenia i dlatego pobłażałem niedostatkowi jednego zęba na przodku, któryby ją był więcéj oszpecił gdyby tak dobrze nie mówiła.... Chciałem jéj się przypatrzyć bliżéj i dlatego posunąłem się nieco na ławce. Nie była to piękność, ale miała pewien rodzaj powabu, który może zająć, chociaż nie zupełnie szczytnemi uczuciami.

Rozmowa nasza tak się żywo toczyła, żeśmy się nie wiem jak do siebie zupełnie zbliżyli, i że ja nie wiem także w jakiém uniesieniu wziąłem ją za rękę. Mniemana skromność kazała jéj oczy spuścić a rękę mi ścisnąć, i to było także pewnym rodzajem powabu. Zadługo jednakże trwała ta romansowa scena dla mojéj sąsiadki, nieproszone ściśnienie rąk zaczęło się powtarzać i wkrótce chcąc skończyć nudzącą już rolę, proszono mię o odprowadzenie siebie do domu. A cóż robić? podaję rękę; co za różnica, dziś rano na tém samém miejscu ręka Matyldy spoczywała! Ta myśl nabawiła mię wstydu i żalu, chciałem porzucić sąsiadkę, ale słabość jakaś opierała się temu. Jakże teraz trzepie wesoło trzy po trzy, jak mię szamocze za rękę! gdzież się podziało to uczucie, z którém zemną rozmowę o piękności okolicy rozpoczęła. A mopsiku tyś zdradził panią twoję; to jéj przybycie niby z niechcenia było

już dawno przedsięwzięte; zapewne siedziała niedaleko odemnie ukryta i domyśliwszy się po giestach o stanie mojéj duszy udała romansową, aby mię znęcić i omamić. Czyliż dam się złapać w te tak proste sidła? Idę precz, ale milczę. Jakże mię daleko prowadzi; stanęliśmy u drzwi mieszkania. „Czy Pan nie wejdziesz na górę?" I stoję i nic nie odpowiadam, czemuż się nie wracam nazad? „Niech Pan moment poczeka, pójdę po świecę, bo ciemno na schodach." Poszła, a Matylda stanęła mi w umyśle; nie będę uwłaczał temu wspomnieniu, nie oszpecę powabu dnia tego, który między najszczęśliwsze policzę. — Rzekłem, wcisnąłem kapelusz na uszy i odbiegłem oglądając się za sobą, czy mię kto nie goni.

ROZDZIAŁ XI.

Feralis.

Z czystém sumieniem i prawie z tryumfującą miną zabierałem się nazajutrz z wizytą do moich ziomków i cieszyłem się naprzód przyjemnością przepędzenia chwil kilka z Matyldą. Nie mogąc się doczekać Pawła, sam jak najstaranniéj wszelkie do ubrania mego poczyniłem przygotowania. Już się była odbyła przed lustrem pocieszna samolubstwa scena, która najbrzydszego nawet próżną nadzieją uczynienia wrażenia na ubóstwianym przedmiocie napawa; już nawet ostatnie piórko starannie z sukni zdjąłem i wcisnąwszy z wolna kapelusz na głowę, aby gładko umuskanych włosów nie rozrzucić, postępowałem mierzonym krokiem po korytarzu poglądając na siebie nieustannie od stóp do głowy. Już nakoniec stanąłem u drzwi mieszkania Matyldy i zdjąwszy

kapelusz, poprawiwszy włosów i chustki na szyi, schwyciłem za klamkę . . . . . gdy drzwi zamknięte do razu mój tryumfalny pochód wstrzymały. — A może jeszcze zarano u Matyldy? tak, ale wszakże to jest wejście do przedpokoju. — Może je służący dla bezpieczeństwa zamknął? nie masz klucza we drzwiach. Zapewne państwo poszli na spacer, a służący korzystając z podanéj pory wraz z moim Pawłem goszczą gdzie w szynkowni. Wyjrzyjmy na podwórze: Co? już bryka upakowana i zaprzężona, mój Paweł żegna się serdecznie z kucharzem, podaje rękę pannie służącéj i wsadza do bryki, odjeżdżają . . . A pojazd gdzie się podział? . . . czyliżby już odjechał? wszakże mi wczoraj nic nie mówiono o tak nagłym wyjeździe.

Pawle! Pawle! . . . nie słyszy, lecz idzie ku mnie: biegnę po schodach naprzeciw niemu: „Czy państwo już odjechali?“ Uśmiecha się niezdara, lśnią mu się oczy, chwieją się nogi, patrzy się jak przeze mgłę na mnie i nie odpowiada. Żegnał się widzę nieborak z ziomkami swymi i napróżno usiłuje parę słów wybełkotać... „Idź precz pijaku“ zawołałem i wybiegłem na ulicę. Nie widać nikogo, więc odjechała, a ja pełen nadziei szedłem do niéj, jakby po nagrodę za mój czyn wczorajszy . . . Znikła na zawsze może z oczu moich, a ja samotny wśród natłoku ludzi na ulicy, stoję przerażony jak gdybym rozmyślał nad zwaliskami zamku którym na lodzie budował. Mamże spieszyć za Matyldą, jechać

do tych wód do których się ona udała? w jakim celu? aby ją widzieć, z nią rozmawiać i . . . potém rozstać się z nią na nowo. Może. . . nie, ta myśl psuje piękność wspomnienia które mi po niéj zostaje; nie będę się uganiał za widmem, którém mię wątła otucha łudzi; rzeczywistość nie odpowiedziałaby oczekiwaniu. Nie chcę stracić lub zatrzeć słodkiego wspomnienia kilku chwil szczęśliwych; nie będę pragnął więcéj, zachowam w pamięci piękny obraz Matyldy, jéj czucia i cierpień, a nieraz może w życiu to wspomnienie pociechą i prawdziwą roskoszą dla mnie będzie.

Ta chwila rozwagi wróciła mi zupełną spokojność. Znikał urok zachwycenia, uniesienie ustąpiło rozsądkowi; piękny przedmiot, który je był wzniecił, zajmował spokojnie dozgonne miejsce dla siebie w pamięci mojéj przeznaczone, i dozwalał do umysłu przystępu wrażeniom mniéj powabnym, mniéj wyniosłym od rzeczy i osób które mię otaczały.

Postępowałem zwolna z jednéj ulicy na drugą, przypatrując się temu i owemu tak jak się próżniakowi godzi, ustępując się z drogi powozom i ludziom, którzy się nie tak jak ja bez celu na ulicy uwijali. Tutaj przeraził mię krzyk woźnicy najeżdżającego na mnie, tam otrzymałem kułaka od tragarza, którego koszowi nie dość się wcześnie z drogi umknąć zdołałem; wszyscy przechodzili koło mnie, spiesznie jak gdyby chcieli stronić od próżniaka, którego wolny po-

chód ich pośpiech wstrzymywał. Jakżeto pocieszający obraz dla myślącego człowieka ten ruch ustawiczny pracowitego ludu, to przemysłowe jego krążenie, ta skrzętność w stosownem użyciu każdéj chwili czynnego życia! Wstyd mię doprawdy mojéj nieczynności między nimi, ale ja też jestem cudzoziemcem podróżnym, a do tego ciekawym, a gdy powrócę do kraju, to . . . równym będę próżniakiem jak dzisiaj.

O jakżebym z duszy życzył krajowi memu téj czynności, tego życia przemysłu, które się tutaj w każdéj niemal twarzy maluje. Jakżebym sobie życzył przypatrywać się kiedyś, równie jak tutaj dzisiaj, w którém mniejszém mieście naszém, snującym się ludziom, nie w siermięgach ani w odartém odzieniu, ale bogatszym do wyższéj klassy należącym; nie w celu oddania wizyty, pospieszenia na obiad, lub na miejsca schadzek i zabaw, ale na zgromadzenia kupieckie, na targi, do warsztatów i składów fabrycznych, do domów handlowych, na pocztę, tam słowem gdzie większa część z tych tutaj lepiéj ubranych śpieszy. Przyjąłbym chętnie kułaka od tragarza lub przekupnia przypatrując się jako próżniak ludziom krążącym w tém miasteczku, gdybym ich tylko jak najwięcéj czynnych i biegających za pomnożeniem dostatków własnych widział.

Za pomnożeniem dostatków własnych? a to nie jest dosyć szlachetném, to niesłychanie trąci chciwością. Pracować i ustawiczne czynić zabiegi aby się zbogacać, to tylko tak zwanym niż-

szym klassom przystoi, wyższych zaś powołaniem jest pędzić czas w szlachetném próżniactwie, a biedakom pracę zostawić w udziale. Jeżeli niekiedy zechcą czynić zabiegi w celu zbogacenia się, to nie te nikczemne starania i prace, które tylko z wolna, dodając ziarko do ziarka, grosz do grosza, i drogą rządnéj oszczędności w pewnéj kolei lat do prawdziwego bogactwa doprowadzają: lecz owe olbrzymie kroki ku szczęściu, które drogą intrygi, lub tajemnéj ugody z własném sumieniem od razu do państwa i bogactwa prowadzą. To dziwna, niepojęta rzecz prawdziwie, ten nasz sposób widzenia nad tém co nam przystoi a co się nie godzi. Przystoi i godzi się żyć dobrze, jak mówią, to jest mieć dobrego kucharza, piękny ekwipaż, wykwintnie przystrojone mieszkanie, celować ubiorem; ale nie przystoi, nie zgadza się z tonem i z szlachetnością pracować dla zapewnienia sobie znaczniejszych dochodów, a przynajmniéj wstyd jest przyznać się wyraźnie do tego, że o zbogaceniu się własném rozmyślamy, że nad niém pracujemy. Uczyniliśmy już wprawdzie wielki postęp w oszczędności i przemysłowości, ale jakże nam wiele jeszcze nie dostaje w porównaniu z temi . . .

— *Na! Herr was machen Sie denn*? krzyknęła na mnie przekupka, któréj w zapale monologu, giestykulując niepotrzebnie, zmiatałem ręką poukładane owoce na poręczy mostu i kupy wisien i pożyczek do rzeki wrzuciłem. Przerwało się moje filozofowanie, krzyk powstał na

ulicy, otoczono mnie, poczytano za waryata, i gdym się tłómaczył rozsądnie, żądano wynadgrodzenia szkody, którą mimowolnie mój zapał dla dobra kraju i ludzkości zrządził. Sięgam do kieszeni . . . niestety! nie masz i szeląga: wychodząc spiesznie na moją wizytę zapomniałem pieniędzy wziąść z sobą. Proszę, błagam pokornie pobłażania i cierpliwości, daję słowo honoru, nic nie pomoże, żądają gotowizny i dla kilkunastu dydków raczą mi towarzyszyć w zbyt licznéj dla mojéj sławy kompanii, aż do mego mieszkania. O jakże mi wstyd było iść w eskorcie przekupek i usłużnych jéj przyjaciół, bo znaleźli się jak na złość ciekawi próżniacy, którzy czeredę naszą powiększali. Co tu fałszywych wniosków o mnie i o mojém wykroczeniu? ktożby był wierzył, że ja dla dobra ludzkości prześladowanie cierpiałem?

Przybyłem przecież do mego mieszkania, zaspokoiłem hojnie roszczone do mnie pretensye i odebrałem znaki poszanowania, przeprosiny i dziękczynienia od tych, którzy mię jako hołysza tutaj odprowadzili, w zamian za zapłatę dwa razy większą jak żądano. Ale poco było dać wiele? przeklęta z mlekiem wyssana próżność zwykle prostackim wyrazem *Bon rezon* oznaczona, opanowała mię także, mnie który dopiero nad oszczędnością, nad umiarkowaniem i nad niedorzecznością opinii rozmyślałem. „*Niech znają*“ rzekłem sobie i dydki wysypałem z worka jak plewy: a co? wszakżem się nie wyrodził.

Paweł chrapał szczęśliwie, nie śmiałem go przebudzić ażeby mu zostawić czas do wytrzeźwienia potrzebny; w jego towarzystwie nie można pozostać w pokoju. Czas piękny, miasto obszerne, pójdźmy chodzić po ulicach i przypatrywać się ciekawościom, ale już nie bez pieniędzy, i nie w tę samą stronę, abym na siebie oczu tam nie zwracał, gdziem tak hojnie rzékę owocami częstował.

Przebywszy ledwo rynek między straganami i tłoczącymi się ludźmi, wszedłem do kościoła Swiętéj Elżbiety. Prócz ciekawości nakłoniło mię do tego wspomnienie na Matyldę, którą w dniu wczorajszym korzącą się przed ołtarzem Boga widziałem. Poświęcę chwilę temu wspomnieniu, które mnie do szczytnych i prawdziwie pobożnych myśli doprowadzi. Jakże niedościgłe ogniwa łączą myśli nasze z sobą! możemyż kiedy wzbudzić w umyśle wyobrażenie prawdziwie pięknego i dobrego utworu, ażebyśmy zarazem myśli ku odwiecznemu Twórcy nie wznieśli!

Cóżto za tablice okrywają ściany tego kościoła? Oto imiona mieszkańców téj okolicy poległych w boju za ojczyznę. Piękna myśl uświetnienia pamięci walecznych, mieszcząc ich nazwiska w świętych przysionkach. Tkliwa w tém szczególniéj, że ojcowie, matki i żony, tutaj swych dzieci i mężów nazwiska napotykają, gdy modły do Boga zanoszą. O jakże to wspomnienie rozrzewnia tych którzy ponieśli podobną stratę, jakże sposobi umysł do tego rozmyślania,

do téj prawdziwéj bogobojności, która tak rzadko uzacnia i zdobi człowieka! Za lat kilkanaście te dziś tak mocne wrażenie czyniące tablice, obcemi będą dla wszystkich, sama ciekawość rzuci tylko okiem na nie, powtarzać będzie obojętne nazwiska i wtedy będą one tylko pomnikiem próżnéj chwały, któréj nikt wielbić nie będzie, nad którym nikt łzy nie uroni.

Opuściwszy kościół, obróciłem próżniackie kroki ku stronie przyjazdu mego. Za mostem stoi słup, portret jakiś u samego wierzchu zawieszony, nazwisk pełno na tym słupie, co to być może? Stanąłem przed nim ciekawością zdjęty i gdy w najlepsze zabieram się do czytania napisów, słyszę że przechodzący prosty wyrobnik mówi do mnie: „czy Pan tu swego nazwiska szukasz? ja myślę że go tam nie masz.“ — A téj mi też jeszcze grzeczności do moich wszystkich dzisiejszych tryumfów brakowało, bo ledwo żem usłyszał te wyrazy, poznałem iż stoję przed szubienicą, na któréj portrety i nazwiska zbiegów wojskowych pozawieszano. Pomnik hańby, który przestał już być przedmiotem ciekawości i co go każdy z dala omija; a ja zajęty jeszcze owemi nazwiskami w kościele spisanemi stanąłem niebaczny przed temi: jak gdyby same tylko szlachetne czyny na widok publiczny wystawiane bywały. Słuszną była uwaga przechodzącego wyrobnika, była ona wyrazem jego niechęci ku ciekawości mojéj; ale

mnie niesłychanie zmieszała. Odskoczyłem od słupa jakbym się obawiał zarazy jakiéj i wróciłem zamknąć się w mieszkaniu, ażeby mnie feralna gwiazda odstąpiła.

ROZDZIAŁ XII.

Kupiec.

Już od kwandransa warczał mój pojazd na pierwszéj bitéj drodze, którą za granicą napotykałem, gdym się obejrzał raz jeszcze na wieże Wrocławia, a widok ich sprawił na mnie przykre wrażenie rozstania się z ulubioném miejscem. Zdawało mi się, iż zostawiłem w tém mieście osobę drogą i to co zupełnie dla mnie obojętném było, wzbudzało we mnie tęschne uczucie: dla czego? dla kilku chwil pełnych słodyczy obok Matyldy spędzonych, dla wspomnienia które mi poniekąd każda wieża Wrocławia wracała. Jakżeż nie mamy kochać miejsca, w którém wiek młodociany, wiek marzeń i żywych uczuć przepędziliśmy!

Myli się, kto zowie instynktem, lub wrodzoném czuciem przywiązanie do rodzinnéj strzechy;

jest to skutek doznanych w niéj pociech lub tkliwéj zgryzoty, wzniéconych uczuć, lub drażnionych nadziei. Ten kto tak wszędzie żyje jak gdyby wędrował z zawiązanemi oczami wśród pięknéj okolicy, nigdy nie będzie znał przywiązania do miejsca jakiego i nie poniesie tęschnéj myśli ku ziemi rodzinnéj, choćby na zawsze od niéj był oddalony. Lecz kto umie czuć i dzielić czucie, ten polubi miejsce każde w którém przyjemnych doznał wrażeń, ten w niém zawsze pamiątkę swego szczęścia lub niedoli widzi. I jadę daléj i coraz daléj, i mijam wsie i domy, góry i lasy, ledwo że na nie poglądam; gdzie niegdzie tylko zajmuje oko piękne położenie, szczególny effekt światła i odcieni, piękna budowa, porządek zakładów gospodarczych; lecz to wrażenie przemijające ginie w pamięci ustępując drugiemu. Jedno tylko pasmo gór po lewéj jak niezmierny ciemny obłok, zadziwia mnie swym widokiem od kilku godzin i trwalsze w umyśle zostawia wrażenia. Tak właśnie życie nasze mija i ubiega jak ja z moim pojazdem po téj drodze: otoczone zawsze najrozmaitszemi wrażeniami, płynie gdzie niegdzie spokojnie i swobodnie, odbija jak wód zwierciadło niejedno słodkie wrażenie, lecz mija, upływa i ślad odbijanego obrazu traci; a zwykle tylko jeden przedmiot nieodstępnie z sobą unosi, i nim swój bieg upiększnia lub szpeci, według tego czy szlachetne czy podłe uczucia biegiem tym kierują.

Jakżem się zapuścił w metafory i porówna-

nia! znowu marzenia? a kiedyż się z niemi rozstanę? Ani wiek, ani kraj w którym żyję, nie lubi już tych uniesień czułości, tych wykrzykników i marzeń. Lepiéj podobno żyć teraz tak jak mój Paweł et consortes „wszak prawda Pawle! zawołałem głośno przez pustotę.

— Co Pan mówił? albo ja mogę zgadnąć?

— Co? nic wcale, ale domyśl się czego ja chcę teraz.

— O! to bardzo łatwo.

— Doprawdy, cóż takiego przecie?

— A to żeby minąć tę brykę, co się przed nami zwolna toczy i próżno nam kurzy.

— A tak, zgadłeś, rzekłem z uśmiechem wspomniawszy raz jeszcze na owe szory i biczysko. Tym czasem furman zaciął koni chcąc minąć wysoką płótnem pokrytą brykę szląską, o kilku siedzeniach, z któréj wiele głosów razem słyszałem. Lecz woźnica jéj spostrzegłszy chęć mego furmana, zaciął na odwrót swoje konie, zajechał mojemu drogę i nie dał się wyścignąć. Moi ludzie dobierali dobitnych wyrazów przeciwko Niemcowi i zdawało im się to wielkiém uchybieniem mojéj godności, że mi się tamten pojazd nie umknął z drogi: biedni ludzie i oni nawet chcą tego, żeby im się wszystko i wszędzie z drogi umykało. Mój furman wziął zupełnie na kieł i chciał koniecznie minąć swego przeciwnika, tak dalece iż złożywszy zbytnie na lewo zawadził o kamień nad brzegiem drogi bitéj usta-

wiony i obaliwszy go, żwawo minął brykę w któréj głos męzki kazał wstrzymywać koni.

Ledwo żem ujechał kilkadziesiąt kroków, aż tu dozorca drożny zastępuje mi drogę, chwyta konie u cugli i woła: Panie, talera strofu, obaliłeś Pan kamień drożny. „Palnij go batem, tego . . . . zawołał Paweł. — Gdybym nie był wstrzymał ręki woźnicy, byłby uczynek natychmiast po téj radzie nastąpił. Kazałem wstrzymać konie i wiedząc dobrze o tém, że żądana opłata była wyznaczona jako kara za obalenie bocznego kamienia, wysiadłem i w grzeczny sposób w ugodę z drożnym dozorcą wchodzić zacząłem, i gdym już dobijał targu, minęła bryka pierwsza, przyczyna mojéj straty. Jéj woźnica urągał się z nas, zaciął tryumfując konie i gdy w najlepsze pędzić zaczął, pęka oś o staje ledwo od nas, i bryka osiada na drodze: „Każdy po kolei“ pomyślałem sobie. — „Dobrze mu tak“ zawołał Paweł. „Bóg ich skarał, dodał woźnica. Za co? odpowiedziałem, za wasze głupstwo; spieszmy do nich, damy im pomoc.

Te kilka słów ukoiły moich ludzi, dogoniliśmy wkrótce wsparty na przedniéj osi pojazd, Paweł wysiadł żwawo i jął się szczerze do dźwigania bryki, a ja dopomagałem wysadzać z niéj dwie ładne panienki pobladłe z przestrachu, głośno płaczącego berbecia, starą mamę mocno przerażoną i ledwo wydźwignąć się mogącego jegomości, który na pół wydobyty o lulkę się swoją pytał.

Widziałem iż wszyscy dziwili się naszéj uczynności, a nadewszystko woźnica, który w nas przeciwników swoich upatrywał, dla tego że z nas dopiero co był szydził. Po poprawieniu czepków, grzebieni i chustek, po ukojeniu beczącego Frycka i znalezieniu lulki, zaczęła się między nami rozmowa. „My oba najniewinniéj dzisiaj za naszych ludzi pokutujemy,“ rzekł do mnie ze śmiechem ojciec téj familii. „Pan zapłaciłeś talera, a my do Neumark piechotą pójdziemy, dla tego że się naszym furmanom ścigać podobało.“

— Nie, mylisz się Pan w swoich wnioskach, odpowiedziałem; bo ja tylko ośm dobrych groszy zapłaciłem, a państwo wszyscy nie pójdziecie piechotą, bo damy przynajmniéj w moim pojeździe miejsce znajdą.

Nie spodziewano się téj grzeczności. Wszyscy dziękowali mi jak najuprzejmiéj, a na twarzach młodych panienek i Frycka widać było wielkie ukontentowanie, że pojazdem na ressorach i wybitym czerwonym safijanem pojadą.

Gdyśmy skołataną brykę na drągu umocowali, damy do pojazdu powsadzali i zwolna za całą karawaną postępować zaczęli, wzbudziła się we mnie ciekawość poznania mego towarzysza pieszéj podróży i jego familii, miałem go bowiem za jakiego poczciwego rzemieślnika, który w najętym wozie niedzielnéj przejazdki używa. Zapytałem go więc, skąd i dokądby jechał?

— Jadę z Wrocławia, odpowiedział, i przy święcie chciałem zrobić tę uciechę mojéj dziatwie i sobie samemu, ażeby nawiedzić brata mego, pastora w Neumark. Mój pojazd pękł dla tego, iż się zapewne rozsechł od czasu jak go nie używałem, a zwłaszcza że ten najemny woźnica nie dbał o niego, bo nie jest jego własnością. Ja, widzisz pan, sprawiłem sobie tę bryczkę przed kilku laty, aby niekiedy spacery z moją familią odbywać, a teraz przez czas niejaki tak byłem zatrudniony handlem moim, że i czasu do wyjeżdżania nie było.

Więc to jest tedy kupiec, pomyślałem sobie, a nie ma swoich koni i jeździ taką prostą bryką, musi to być jaki kramarz. Jaki Pan rodzaj handlu prowadzisz, jeżeli się godzi zapytać?

— Mam wielki handel hurtowy wełny i sukna, i zwykle miewam wiele do czynienia z ziomkami pańskimi, gdyż jeżeli się nie mylę, jesteś pan Polakiem.

— Tak jest, a po czémże Pan to poznałeś?

— A choćby też i po pojeździe; panowie polscy mają zawsze takie piękne ekwipaże, że zwykle niemi między nami celują.

O jakaż gorzka przymówka! pomyślałem sobie znowu; ten który od nas wełnę kupuje, chodzi pieszo lub jeździ bryką, a my z pieniędzy za wełnę wziętych kupujemy ekwipaże; on nie wydaje dochodów swoich i corocznie część

ich zapewne na kapitał obraca, a my kapitały nasze na próżne wydatki marnotrawimy; i on dopiero co mówił: *Panowie Polscy*, co za satyra!

Po krótkiém milczeniu wszcząłem znowu rozmowę z moim kupcem, który mi się coraz więcéj z rozsądku i z prostoty, w sposobie opowiadania wszystkiego tego co się jego domu i handlu tyczyło, podobał. Nie było w mowie jego żadnéj przysady, nie chełpił on się ani znaczeniem, ani możnością wywyższenia się nad innych; nie utyskiwał na złe czasy i na potrzebę oszczędzenia: owszem wyznał z ukontentowaniem, iż mu się handel wiedzie, że ma znaczne dochody. Dlatego też, dodał, mogę sobie pozwolić nie jednéj rozrywki; to wraz z żoną i dziećmi idę na teatr, który u nas w Wrocławiu nie tyle kosztuje co u państwa w Warszawie, ile sobie przypominam; kupiłem sobie za miastem ogródek, gdzie w chwilach od pracy wolnych idę czasem pić kawę z familią i z przyjaciołmi; mamy resursę gdzie się wesoło i skromnie bawimy; zresztą nie odmówię sobie nawet kieliszka wina przy stole, a takich jak ja jest u nas bardzo wielu w Wrocławiu i Szląsku; ale to w oczach panów Polaków bardzo jest nikczemném, oni przyzwyczajeni do lepszego. Pamiętam iż za mojéj bytności w Warszawie, nie mogłem się dosyć wydziwić i napatrzyć przepychowi, który tam panuje u wszystkich niemal, a nawet między kolegami moimi.

Tu było pole do udawania, do przysady i do rozwodzenia się nad tym pozorem bogactwa, który niestety podobny jest do rumieńca na twarzy śmiertelną gorączką przejętego człowieka. Ja przeciwnie miałem ochotę utyskiwać nad tym przepychem, o którym kupiec wspominał i rozwodzić się nad potrzebą upowszechnienia u nas rządnéj i przemysłowéj oszczędności. Lecz po cóż odkrywać przed cudzoziemcem najsłabszą stronę naszą? zamilczałem więc i zwróciłem rozmowę na inny jakowyś przedmiot, który nas ciągle zajął aż do przybycia przed mieszkanie brata kupca mego.

Pewnym byłem, iż mię za grzeczność moję do domu zaproszą i nie dozwolą, abym konie i ludzi w oberży umieścił, i cieszyłem się naprzód z podanéj sposobności przypatrzenia się domowemu pożyciu tych dobrych ludzi. Stanęliśmy razem prawie z moim pojazdem przed mieszkaniem Pana pastora; wysadziłem damy, które spostrzegłszy idących naprzeciw sobie krewnych swoich, mało na mnie zważały i pobiegły uściskać siostry i braciszków. Mój towarzysz podróży zapomniał także o mnie przy serdeczném witaniu się z bratem, i gdy nakoniec po ukojeniu radości przypadek wydarzony i moją uczynność opowiedziano, proszono mię żegnając się zemną, ażebym dom państwa Pastorów nawiedził jeżeli dłużéj w Neumark zabawię.

Ukłoniłem się i zawiedziony w oczekiwaniu

mojém westchnąłem sobie do naszéj staropolskiéj gościnności i znalazłem niejakie w tém pocieszenie, że się szala dobrego, tym razem przecież, na naszą stronę przeważyła.

ROZDZIAŁ XIII.

Polskie tańce.

— Polonez w Lignicy, a to rzecz osobliwsza? pomyślałem sobie słysząc zdaleka pozytywkę grającą na ulicy Poloneza. Zbliżyłem się do grającego, który ani się domyślał ile mi przyjemności prostém kręceniem korby sprawiał. Jeszcze raz tego samego, rzekłem do niego dając kilka dydków i usłużny wirtuoz nastawił walce organków, i zaczął kręcić korbą, a ja oparty o ścianę słuchałem jego muzyki, poglądając na księżyc, który pogodny krąg swój roztaczał pomiędzy obłokami i spokojny promień po oknach świeżo zburzonego kościoła roznosił. Patrzałem na niego okiem utęschnienia za ojczyzną, któréj wspomnienie narodowy dźwięk ocucił: myślałem o was ziomkowie, których tak kocham, którym tyle dobrego życzyć można; o was przyjaciele, których mi zawsze spo-

kojne i jednostajne pogodne światło księżyca przypomina; o tobie Emilio... Czemuż ciebie jeszcze zapomnieć nie mogę! Tak w tym właśnie takcie widzę ciebie uśmiechającą się do twojéj przyjaciółki, która przy zakręcie koła spotyka się z tobą; odmawiasz odbijanego, chcesz ciągle z jednym tylko kawalerem tańcować, nie dajesz żadnéj przyczyny twego uporu; prawda, że tancerz nie jest przedmiotem zazdrości, kochany wujaszek: mija koło raz i drugi, ty się śmiejesz z utęschnionych za twoją łaską; co się który zbliża, zwracasz na drugą stronę; wszystko tak zręcznie, z takim niewymownym wdziękiem, ach jakże to... Co, już skończył? jakże nieznośnie jęknęła ostatnia piszczałka organków, jak nieprzyjemnie przerwała mi moje marzenia. Czy kazać jeszcze grać tego samego? Niemiec się kłania, dziękuje za zapłatę otrzymaną, lecz radby otrzymać więcéj, skłonię się do jego życzenia... Ale co słyszę? polonez Ogińskiego na fortepianie, to być nie może, słuchajmy... tak jest nie inaczéj. Mój wirtuoz spostrzegłszy zadziwienie moje uwiadomił mię, iż ten polonez, który on grał na swojéj pozytywce pochodzi od téj, którą ja teraz będę słyszał, że on jest od niéj za to płatny, ażeby co dzień wieczór grał go pod jéj oknem.

— Któż to jest ta która gra na fortepianie, czyli Polka?

— Nie, jest to Niemka; ale jéj nie znam jeszcze, gdyż i ja niedawno przybyłem do Lignicy

i ona, jak mi mówiono, nie od dawnego czasu tutaj mieszka.

Skłonił się i odszedł; a ja stoję znowu oparty i przysłuchuję się z największém uniesieniem tańcom polskim z niewymowném czuciem granym. Nie, to nie może być Niemka, niepodobna dać tyle wyrazu téj narodowéj muzyce; najdoskonalszy muzyk bez znajomości narodu tak ich grać nie potrafi. Otóż i mazur, jaki skoczny, jaki zamaszysty; znowu się wróciła do melancholijnych polonezów; co za znajomość téj części muzyki naszéj? O jakże zaostrzona jest moja ciekawość... A jednakże ustępuje w umyśle miejsca marzeniom i wspomnienia na swoich. Coto za czucie słodkie to pomiłowanie swoich, dla czegóż wszystkim ludziom jednakowego pomiłowania poświęcić nie możemy? Gdyby mi tutaj teraz dwóch ludzi stawiono, jednego najbardziéj przezemnie wielbionego męża z pomiędzy mędrców niemieckich i poczciwego włościanina polskiego, nie wahałbym się podobno i skoczyłbym do tego ostatniego, aby go jako najserdeczniéj uściskać. Dobrze i pięknie jest kochać wszystkich ludzi, lecz słodziéj i równie dobrze jest kochać ziomków. Wszakże można być razem i dobrym przyjacielem i dobrym bratem, dla czegóżby się miłość kraju i ziomków z miłością całéj ludzkości w jednémże sercu pomieścić nie miały? Ileż ja cito przyjemnych uczuć winien jestem, piękna nieznajomo, która te narodowe przygrywasz mi tańce. Tak, piękna, chociaż cię nie widzę, bo taką być musisz.

A czemużbym się nie miał przekonać o tém jak dalece mój wniosek jest prawdziwy? dla czegóżbym nie miał wejść do domu? wszakże z tego otwartego okna na pierwszém piętrze słychać muzykę; pójdę, podziękuję za grzeczność, którą mi świadczy. Za grzeczność? a któżto powiedział, że to dla mnie te polskie tańce grają? ale oczywiście domyślono się że tu musi być Polak pod oknem, ponieważ kazał sobie powtórzyć poloneza na pozytywce granego. A choćby i tak było, czyliż już ztąd wnosić należy, że zostanę dobrze przyjęty; kto wie, czy tam nie masz obok grającéj jakiego drzymiącego Alberta, jakiéj zrzędnéj mamuli lub ciotuni, któréjby się ta późna wizyta nie podobała; któż mi zaręczy, że ją sama grająca dobrze przyjmie? I ja tu stoję i rozmyślam, inny na mojém miejscu byłby już dawno na górze, ale ja całe życie takim nieśmiałym zostanę: no więc pójdę. Ale kiedy muzyka ustała, zamykają okno, otóż i drzwi domu zatrzaskują; wszystko ucichło i ja stoję na ulicy, jak gdyby mi kto był co odebrał, jak gdybym był co zgubił: pójdę do oberży, przenocuję, i jutro odjadę. Nie, otóż nie tak będzie, zostanę przez jutro w Lignicy, wrócę tutaj, dowiem się kto grał polonezy i mazurki, skąd do ich znajomości moja piękna muzykantka doszła. Uważajmy dobrze dom, abym do niego jutro trafił. Drzwi sklepione, z daszkiem z ciosu na dwóch niezgrabnych figurkach opartym. Znak jakiś, podobno wielki obwarzanek na nim wymalowany. Ławka kamienna przed domem;

trzy okna na pierwszém piętrze, dwa na drugiém i w kończatéj facyatce jedno. Obok siodlarz, naprzeciwko... o ba, już teraz trafię. Kto też to być może? kto też to być może? To pytanie ani chce ustąpić z głowy, z niém się spać położę, snić mi się będzie o niém i z niém się obudzę.

Tak się stało: najprzyjemniejsze sny zajmowały mię przez noc całą; rozwiązaną była zagadka o grającéj, poznałem w niéj Matyldę, z nią najsłodsze pędziłem chwile; niekiedy obraz Matyldy mieszał się z obrazem Emilii, dosyć że opływałem w piękności rozkoszne uczucia.... gdy mnie Paweł przebudził z doniesieniem, iż już wszystko gotowe do wyjazdu. Nie odjedziemy dzisiaj, rzekłem do zadziwionego Pawła, dla którego Lignica żadnych nie miała powabów; ubrałem się jak najprędzéj i pospieszyłem do złotego obwarzanka.

Wchodzę do sklepu, gdzie za stosem bochenków, bułek i ciast siedziała nader czysto ubrana babunia, która spostrzegłszy mię przestała robić pończochę i powstawszy czekała żądania mego, czy bułki, czy chleba, czy ciasta zapragnę.

— Przepraszam bardzo że Pani przeszkadzam, rzekłem, ale proszę mi powiedzieć, czyto w tym domu w dniu wczorajszym wieczorem grano polskie tańce?

— Dla czegóż się Pan o to pytasz? Co to

Pana może obchodzić? odpowiedziała zadziwiona staruszka.

— Jestem Polakiem podróżującym i te dźwięki narodowych pieśni tak mnie wczoraj rozczuliły, iżbym chciał podziękować przed odjazdem téj, która we mnie tak słodkie uczucia wzbudziła.

Na te słowa porwała się ze stołka w kącie sklepu młoda przystojna osoba, któréj nadzwyczajna bladość smutkiem przejmowała. Przybiegła do mnie z radością, oczy zajaśniały wyrazem pocieszenia, lekki rumieniec na chwilę przerwał bladość lica. „Ty jesteś Polakiem“ dobry Panie „pozwól niech ci rękę ścisnę jako przyjacielowi, ja bardzo kocham Polaków.“

— Ernestyno, zawołała staruszka, upamiętaj się co czynisz, cóż ten Pan obcy o tobie myśleć będzie.... Niech Pan wybaczy jéj nieszczęściu.

— Kochana ciotko! nie strofuj mię, proszę ciebie, ten Pan nic złego o mnie nie pomyśli, to jest Polak, a Polak złym być nie może. Wszak prawda kochany Panie?

Nie mogłem utaić rozczulenia i pomieszania mego, przycisnąłem do serca dziewczynę, która z dziecinną ufnością trzymając mię za rękę, głowę swoją na mojém ramieniu oparła.

— Ach moja ciotko, rzekła, pozwól niech ja go zaprowadzę do Stanisława, wszakże to był jego ziomek. Przyrzekam ci, że natychmiast z nim razem powrócę. Dobry Panie, proś ty za mnie ciotki, aby mi pozwoliła iść z tobą niedaleko, tam, kilkaset kroków. Ja powrócę zaraz.

— Ale Ernestyno, upamiętaj się, wszakżeś mi przyrzekła, że tam więcéj chodzić nie będziesz, że się nie będziesz tak martwić nieustannie.

— Nie, nie będę się martwić, będę wesołą, wrócę do roboty z ochotą, nawet już dzisiaj grać nie będę, tylko mi pozwól niech pójdę z tym panem. — I nie czekając odpowiedzi ciotki, bierze mnie za rękę i prowadzi spiesznym krokiem ku drodze, którą przyjechałem. Milczała długo, widać było na twarzy walkę najżywszych uczuć; wzrok jéj ciągle był przed siebie zwrócony. Ty może myślisz Panie, rzekła nakoniec, że ja zupełnie od zmysłów odeszłam, sądząc po mojém obejściu się z tobą; nie nie, ja mam rozsądek, mam aż nadto jeszcze zdrowy umysł, bo umiem czuć nieszczęście moje. Ale sposobność oglądania Polaka, mówienia z nim, zanadto na mnie wrażenie czyni, ażebym na przepisy przystojności i grzeczności zważać miała, ażebym na chwilę poniekąd przytomności nie traciła. —

— Lecz dla czegóżto widzenie Polaka takie na tobie wrażenie czyni, dobra dziewczyno? Czyliżto który z moich ziomków stał się przyczyną jakiego nieszczęścia dla ciebie? Czyliż cię opuścił i zapomniał o tobie?

— O nie, nie mów tak źle o twoich ziomkach, i ja dawniéj sądziłam się być opuszczoną, zapomnianą... ale nie, Stanisław był wiernym i poczciwym, on nie był przyczyną mego nieszczęścia, ja przez niego samo tylko szczęście zna-

łam... ale Bóg chciał inaczéj, a ja się korzę przed świętością jego wyroków. Wszystko ci opowiem jak tylko do niego przyjdziemy, i dla Polaka nic tajnego mieć nie mogę... miéj tylko cierpliwość, bo muszę spocząć sobie, natchnąć się wspomnieniem na Stanisława, nim ci wszystko opowiem. — To rzekłszy jeszcze spieszniéj iść zaczęła i gdyśmy się już znacznie oddalili od miasta, zatrzymała się nagle przed bramą na lewéj stronie drogi wystawioną i rzekła:

— Czy widzisz ten napis; *Wejście do spokojności* *). Tutaj Stanisław mieszka, tu i ja obok niego mieszkać będę, jak mi Bóg spokojność przeznaczy.

Po tych słowach puściła mi rękę, wyprzedziła mię i zapominając prawie o mnie pobiegła spiesznie ku ścianie cmentarza. Postępowałem zwolna i szczególnie smutném uczuciem przejęty za nią; śledziłem jéj lekkie skoki pomiędzy grobami; biała jéj suknia, która mi się gdzie niegdzie między zielonością okazywała, służyła mi za przewodnika. W samym końcu cmentarza w cieniu dwóch młodych akacyj, spotrzegam ją nakoniec klęczącą nad grobem murawą pokrytym. Prosty krzyż żelazny wznosi się nad nim, mała przepaska blaszana niebieska i czarna zdobi go, we środku u niéj zawieszony jest krzyż wojskowy polski, u dołu ten napis prosty: *Erne-*

*) Eingang zur Ruhe. Ten napis znajduje się na bramie do cmentarza przed Lignicą.

styna Stanisławowi. Nie mógłem utulić żalu, który mnie przejął na widok grobu ziomka na obcéj ziemi. — Skromna, anielska postać dziewczyny klęczącéj nad grobem, jéj oczy pełne wyrazu najszczytniejszego uniesienia nadziei i wiary ku niebu wzniesione, bez łzy i bez rozczulenia; to zupełne odłączenie siebie saméj od wszystkiego co tylko jest światowém; ciche modły z głębi serca ku nieśmiertelnemu wznoszone, których wzniosłości wyrazami wydać nie mogła; ta niewzruszona i tak na pozór martwa postawa tak silnemi uczuciami przejęta; ten grób osieroconego, który na obcéj ziemi znalazł przyjaciela, tkliwego zastępcę i ziomków i krewnych.... ach! to wszystko tak silnie przemawiało do mego serca, żem rzewnie płakać zaczął i tak mocno rozżaleniu uległ, iżbym podobno w obec całego świata i najgrawających się nawet ze mnie oziębłych ludzi, łez moich nie był powściągnął.

Po pewnéj chwili powstała, zwróciła się z anielskim uśmiechem ku mnie, i spostrzegłszy moje rozczulenie rzekła podając mi uprzejmie rękę: „Czego płaczesz dobry Panie? ja już dawno, dawno płakać przestałam: on łez nie potrzebuje, a ja, ja ich godną nie jestem. Lecz modlić się można za niego; i za mnie można westchnąć do Boga... uczyń to dobry Panie, Bóg ci to odpłaci“ i ścisnęła mi rękę powiększając rozczulenie moje. Wzniósłem oczy i rękę ku niebu i rzekłem: „tam twoja pociecha i nadzieja.“

Tak jest, kochany panie, dobrze mówisz, tam jest moja pociecha. Widzisz jak teraz jestem spokojną po krótkiéj modlitwie, teraz mogę ci wszystko opowiedzieć; siądźmy na jego grobie i słuchaj mojéj powieści.

ROZDZIAŁ XIV.

Powieść Ernestyny.

Jeżeliś był w Wrocławiu, wiesz zapewne gdzie leży ten pagórek przyjemny, z którego w oddaleniu widać góry Szląska. Po prawéj jego stronie na samym dole, stoi dziś jeszcze skromny domek ojca mego, w którym ja życie i szczęście znać zaczęłam. Mały ogródek więcéj wygodny jak piękny, z altanką w bzie ukrytą, wystawka z dwoma ławkami przed domem, były całą jego ozdobą. Dół zajmowali kochani rodzice moi, szanowny ojciec, prywatny nauczyciel *) przy Uniwersytecie, dobra matka córka Pastora z Lissa i my z nimi posłuszne ich dzieci, mój brat Henryk, dziś aż po za Renem w służbie wojskowéj będący i ja... teraz sierota. Mieszkania na

*) Privat-docent.

piętrze najmował mój ojciec akademikom, których znał bliżéj i których sobie polubił.

Raz po oddaleniu się ze szkół jednego z naszych lokatorów, została jedna izba niezajęta. Trafiło się wielu młodych uczniów, lecz ojciec trudnym był bardzo w wyborze: bo ja wtenczas rok szesnasty zaczynałam. Siedzieliśmy, jak dziś pamiętam, w altanie, kobiety zajęte właściwą sobie robotą, a ojciec w chwili spoczynku słuchał czytanéj głośno przez Henryka gazety: gdy się ku nam przystojny młodzieniec skromnéj postawy zbliżył i żądał mówić z panem domu. „Jestem cudzoziemcem,“ rzekł on do ojca, który powstawszy wyszedł ku niemu, „przybywam na nauki do tutejszego uniwersytetu i dowiedziawszy się, że jest wolne u Pana mieszkanie, prosiłbym o danie mi pierwszeństwa przed innymi: nie mam wprawdzie żadnéj poręki, bo tutaj nie mam znajomych, i sam tylko za moje postępki ręczyć mogę. Spokojność tego miejsca, piękność położenia, a nadewszystko sposobność odwołania się niekiedy do pomocy mego gospodarza, nakłoniły mię do tego, iż lubo nieznajomy o pomieszczenie w tym szanownym domu upraszam.“ — Uprzejmość młodzieńca ujęła mego ojca, widać było po twarzy jego, iż się zapewne skłoni do prożby, lecz gdy się od przychodnia dowiedział, że jest Polakiem, zmieniło się nagle jego wejrzenie i odpowiedział, iż w téj chwili jeszcze mieszkania swego wynająć nie może, że się chyba późniéj o nie zgłosiéby trzeba.“

— Ojciec był bowiem bardzo uprzedzonym przeciwko Polakom i uległ upowszechnionym u nas przesądom o tych dobrych ludziach. Ja zawsze, i wtedy gdym ich jeszcze nie znała, stawałam w ich obronie; w całéj niewinności méj duszy przemówiłam słów kilka za uprzejmym młodzieńcem, poparła mię matka, i bądź dla prozb naszych, bądź też dla powziętéj wiadomości o dobrych obyczajach jego, przyjął ojciec Stanisława po upłynieniu miesiąca do swego domu. Niestety! jam dwa razy dla niego schronienie zgotowała, wtedy przy moim ojcu, a teraz na łonie naszéj spólnéj matki....

— Po kilkomiesięcznym pobycie, przekonał się ojciec o dobrych przymiotach Stanisława, stał się jego szczerym przyjacielem, przypuszczał go do naszego familijnego grona, i w nim ziomków jego nawet polubił. Długo spokojném było serce moje; nadobny i dobry młodzieniec zyskał przyjaźń moją równie jak całego domu, lubiłam go poniekąd jako członka naszéj rodziny. Gdy raz po wieczerzy wyszłam przed sień używać świeżości najpogodniejszego wieczora, ujrzałam Stanisława siedzącego samotnie na ławce przed domem; nie spostrzeżona chciałam go przez żart dziecinny przestraszyć, przerywając jego marzenia; zaczaiłam się za drzwi i gdym bliżéj niego była, dostrzegłam, iż oczy jego ku niebu wzniesione łzami zalane były. Ten widok przejął mnie żalem i szczególną chęcią docieczenia i dzielenia przyczyny smutku Stanisława; nie śmia-

łam już wykonać pierwszego zamyslu i wachając się czy daléj postąpić, czy się cofnąć, poruszyłam niechcący drzwi tak, że na siebie uwagę jego zwróciłam. „Przepraszam," rzekłam w pomieszaniu; może przerwałam panu bieg myśli jego. — Nic nie szkodzi, dobra Ernestyno, odpowiedział ocierając nieznacznie łzy, które powieki jego przepełniały, czas też już było przerwać marzenia moje. — Pan masz zgryzoty? Czyliż ci nie możemy być pomocnemi? — Nie, nie jestem zmartwiony, ja tylko zbyt daleko ztąd byłem w myślach moich; myślałem o mojéj ojczyźnie, i to tęschnoty i rozczulenia mego stało się przyczyną.

— Ty panie, co także jesteś czułym, znać musisz dobrze, jakieto wrażenie szlachetny sposób myślenia na tkliwém sercu czynić może! Niewinna, obojętna Ernestyna nie znała miłości, póki w Stanisławie tylko przystojnego i uprzejmego młodzieńca widziała: lecz od chwili gdy te łzy, które wspomnienie ojczyzny wyciskało, spostrzegła, znalazła w nim ten ideał dobroci i piękności, który sobie każdy młody umysł tworzy, a serce wprzód jeszcze miłuje nim go znajdzie.

— Nie wiem co było powodem Stanisławowi do dzielenia moich uczuć, czy te słabe wdzięki, które natenczas rumieniec pierwszéj młodości i szczęścia krasił, czy to serce, które tylko dla niego jednego biło: dosyć że byłam kochaną, i że niewinna i wzajemna miłość, jak zawczesny

promień pogodny pierwszych dni wiosny, młode moje życie najwyższém szczęściem otoczyła.

— Przyszła chwila rozstania się po dwóch latach szczęścia; Stanisław żegnając się z rodzicami mymi, pierwszy raz mi swoje wyjawił uczucia, i poprzysiągł na imie Najwyższego w ich obecności, iż nigdy innéj małżonki nademnie mieć nie będzie. Nie będę wznawiać w pamięci przykréj sceny rozstania się naszego: byłoto pierwsze nieszczęście moje; pocóż je mam przypominać? wszakże ciągle prawie odtąd z samém nieszczęściem obcuję. Ach biedna Ernestyna miała wtedy przeczucie swojéj niedoli!

Tu się wstrzymała nieco, ukryła na chwilę twarz w otwarte dłonie; a utuliwszy potém płacz rzewliwy, który ulgę przyniósł jéj rozżaleniu, rzekła daléj.

— Stanisław zawsze był dobrym i wiernym, ale ja długo o jego rzadkich przymiotach wątpiłam. Po rozstaniu się naszém odebrałam dwa listy pełne miłości i najpiękniejszych nadziei. W trzecim panował ponury smutek, pojedyńcze wyrazy kazały mi się domyślać, iż Stanisław cierpi z mego powodu; nakoniec w kilka miesięcy odebrał mój ojciec list z Polski od matki jego, pełen goryczy i wyrzutów, do którego dołączono moją odpowiedź na ostatni list Stanisława. Niechęć ojca mego przeciwko ziomkom waszym doszła do najwyższego stopnia, niepokój i znieważenie swojéj familii zarzucał niewinnemu Stanisławowi i w gniewie mnie biedną swojemi

okrył przeklęstwy. Ach panie! jeżeli jesteś lub będziesz kiedy ojcem, nie złorzecz nigdy dziecku twemu, a jeżeli się w gniewie uniesiesz, pomnij na Ernestynę, która ci na grobie narzeczonego tę przestrogę dawała!

— Minęły dwa lata smutku i próżnéj otuchy. Nie miałam żadnéj wiadomości o Stanisławie i nakoniec wierzyć zaczęłam temu, co mi rodzice o jego niestałości i nieuczciwości nieustannie powtarzali. Straciłam rodziców; wojna powołała do usługi brata mego, a ja sierota, nie znająca na całym świecie i jednéj duszy, któraby uczucia moje dzielić umiała, znalazłam w tém mieście przytułek u téj ciotki u któréj mię pan zastałeś. O z jakimże żalem porzucić musiałam miejsce mego urodzenia, jakże nieznośną dla mnie była Lignica, to miasto, z któregoby mnie dzisiaj żadna władza świata wygnać nie zdołała.

— Wśród ciągłych dni smutku i wspomnienia na dawne szczęście, wśród wojennego zgiełku który nas otaczał, pędziłam życie, któremu wszelkie wyższe uczucie obcém było. Dnia pewnego gdy zwycięzkie niegdy wojska przed nowym zwycięzcą ustępować zaczęły, spostrzegłam z okna hufce, których strój wcale mi nie był znajomym. Postępował on w pięknym szyku, i gdy się właśnie zbliżył więcéj ku naszemu mieszkaniu, zagrali trębacze pieśń któréj mnie był Stanisław nauczył. Ten odgłos przejął mię niepojętém uczuciem radości, serce biło mocno, rumieniec

okrył lica, patrzałam z uniesieniem na waszych równie w piękności jak w waleczności słynnych wojowników. Gdy na czele oddziału spostrzegam młodzieńca pięknéj postawy, rzucającego ciekawie okiem po wszystkich oknach; spostrzegam go, wątpię jeszcze, nie śmiem patrzyć na niego, ażebym smutnéj wyroczni lub zupełnego zapomnienia rysów moich na jego twarzy nie wyczytała. To był on, on, ten sam który poprzysiągł przed Bogiem, że Ernestynę kochać będzie; bo jego twarz jaśniała niewymowną radością; uniosłszy się nieco na strzemionach, spojrzał na mnie i ku niebu, wzniósł groźny pałasz jakby chciał śluby swoje ponowić i skłonił go potém przedemną . . . . . Ach widzę go jeszcze, dodała słabszym głosem, zwróciła oczy na krzyż grobowy, opuściła ręce na łono i w osłupieniu długo na ten pomnik żalu patrzała. Po ciężkiém westchnieniu, nie spuszczając prawie oczu z krzyża, rzekła daléj:

— I cóż ci powiem jeszcze? Stanisław był wiernym, zawsze wiernym; przybiegł natychmiast do mnie — ponowił swoje śluby — zaręczył się ze mną — dał mi tę obrączkę i po dwóch dniach odjechał. — A za nim przyszli moi ziomkowie, jego nieprzyjaciele — szli oni bić się z jego hufcem i o mil kilka ztąd stoczyli z nim utarczkę. — Wrócili znowu do miasta i mój Stanisław z nimi... Uu! dreszcz mnie jeszcze przechodzi na samo wspomnienie. — On prosił, żeby go do naszego domu prosto przywieźli ci którzy go rannego porwali. —

Nie było już téj ręki która się z moją zaślubiła, i moja obrączka z nią znikła! Nieopatrzony jęczał i śmiertelną bladością przejęty ledwo ociężałe otworzyć mógł oczy. — Leżał on w moim pokoju, ja zawsze przy nim, maligna ciągła nie dozwalała mu poznać téj Ernestyny, któréj nieustannie wołał. Nakoniec gdy po raz trzeci zorza okropny obraz dwóch wiernych do grobu oświecać zaczęła, orzeźwił się nieco; spojrzał na mnie, chciał mi podać pozostałą rękę i . . . skończył.

Te ostatnie wyrazy wycieńczyły siły nieszczęśliwéj Ernestyny; padła bez zmysłów w moje ręce, i w długiém omdleniu żadnego znaku życia nie dawała. Położenie moje było okropne; rozrzewniony i pozbawiony sposobów dania ratunku sam zaledwie przytomności nie straciłem. Przezorna ciotka, która wyszła była za nami, nadeszła nam obudwom w pomoc; zostawiłem ją przy Ernestynie a sam po pojazd pobiegłem, złorzecząc nieuwadze i lekkomyślności mojéj.

ROZDZIAŁ XV.

Mądry Polak po szkodzie.

Znużony i smutkiem przejęty wróciłem do domu; rzuciłem się na kanapę i długo w pewnym rodzaju osłupienia zostawałem. Ernestyna omdlona na grobie kochanka nie chciała ustąpić z wyobraźni mojéj: ta twarz, pod znamieniem śmierci widziana, stała mi na myśli, jak owa smutna a nieomylna wyrocznia która ją co chwila czeka. O jakżeto boli i dręczy widok nieszczęścia, którému nikt z ludzi, żadne skarby i żadna cnota ulgi przynieść nie może, którego cała nadzieja po za granicami tego świata jaśnieje! Więc ty nie jesteś już dla nas Ernestyno, dla ciebie cały świat obcym! dusza twoja już po za grobem żyje, a ty jak ów wkrótce z nami rozstać się mający przyjaciel, wzbudzasz smutne spomnienia na to, czém byłaś i czémbyś być mogła

dla nas, gdybyś się z nami nie rozstawała! Twoje życie ma się dopiero w nieśmiertelności zacząć.... O jakże pocieszającą jest ta myśl dla czułéj duszy, jak słodką nadzieja dzielenia może kiedyś swobody z temi wyższemi istotami, które nie doznawszy żadnéj doczesnéj pociechy, wcześnie po nagrodę do przybytku nieśmiertelności pospieszyły!

Zatopiony w tém rozmyślaniu nie zważałem na to co mię otaczało, nie słyszałem drzwi które otworzono, ani postrzegłem długiéj wysmukłéj figury, która zwolna na palcach ku mnie zmierzała, aż gdy po cichym a szybko odbytym ukłonię przedemną stanęła.

— Czegóżto? zawołałem tém niespodzianém ukazaniem się dziwacznéj postaci przelękniony.

— Czy Pan potrzebujesz golibrody, odpowiedział z ukłonem. Powstałem z kanapy, spojrzałem na pokornego aspiranta do półzłotka; ujęła mnie jego prosząca postawa, nie mówiąc ani słowa wskazałem miejsce do postawienia stołka, usiadłem na podanym, i zacząłem się bez myśli przypatrywać pochlebnéj uwinności, z którą mi golibroda ręcznik koło szyi położył, a odstąpiwszy na palcach parę kroków z pewną wprawą sztukmistrza mydło na cynowym talerzu rozrabiać zaczął. Mina jego na pół uśmiechniona, oczy na mnie zwrócone, nogi w tył a całe ciało naprzód wydane, ta postawa słowem tak zabawna nastręczyła mi dostrzeżenia, że Jegomość radby był ze mną rozmawiał, ale nie śmiał

rozpocząć rozmowy. To dostrzeżenie nasunęło mi porównanie trzech golibrodów różnych narodów: Francuz jużby był dawno rozpoczął rozmowę i gadałby nieustannie; Polakby z pewną fantazyą przygotowania do golenia robił, ani myśląc nawet o rozmawianiu zemną; Niemiec chciałby gadać ale nie śmie z uszanowania. Trzeba go ośmielić.

— Cóż tu nowego słychać w waszém mieście?

— Od tego czasu jak piorun trzasł w wieżę naszego kościoła i zburzył ten gmach wspaniały, nic chwała Bogu nowego nie słychać.

— A kiedyż to się stało?

— Przeszłego roku. — Tu mój golibroda wszedł w najdrobniejsze szczegóły w opowiadaniu wydarzonego zburzenia kościoła przez grom; przytoczył dzień, godzinę i minutę nieledwie tego zdarzenia, opisał przerażenie wszystkich mieszkańców Lignicy, swoje własne, żony i dzieci swoich; wyrachował ogrom straty taksując wszystko po kolei co tylko pożar zniszczył; wyliczył koszta odbudowania kościoła, wskazał żródła funduszów na ich opędzenie: słowem wyrecytował mi najdoskonalszy traktat historyczny o zburzeniu i odbudowaniu kościoła; a to wszystko nie przerywając sobie czynności golenia, lecz niekiedy z odmianami głosu i szybkości mowy, w miarę że brodę mydlił lub golił, że do trudniejszych miejsc brzytwę przykładał lub ją na pasku ostrzył, a najwolniéj i najbardziéj przytłu-

mionym głosem wtedy gdy mię za nos schwycił i wąsy golił. Dyssertacya ta skończyła się na téj trafnéj uwadze: „że odtąd nic podobnego się już nie zdarzy, gdyż magistrat po wydarzoném nieszczęściu sprowadził biegłego majstra, który konduktory robi i że za parę lat wszystkie domy Lignicy nięmi zapewne opatrzone będą.“

Ta uwaga bardzo mię ucieszyła, roześmiałem się głośno; mój golibroda nie zrozumiał mego śmiechu, tłómaczył go jak chciał i zapomniał o nim, gdym go za tę właśnie wiadomość hojniéj udarował jak się spodziewał.

— Acha! rzekłem sobie, jak tylko wyszedł, a w co się teraz obróci przysłowie *mądry Polak po szkodzie.* Przysłowie powinno być prawdziwém; podług niego myślałby kto, że Polak zawsze był mądrym po szkodzie a Niemiec, Francuz, Anglik nie: możnaby także ztąd wnosić, że Polak zawsze bywał głupim przed szkodą, a Niemiec, Francuz, Anglik nie. Oj prawda! . . . Odwołuję się do wszystkich moich ziomków, czy też to trafne jest przysłowie: Mądry Polak po szkodzie; proszę każdego z nich aby przebiegł historyą narodu, potém jeżeli może, historyą choć bliższą własnéj familii, nakoniec historyą własnego życia, cóż w tych wszystkich historyach znajdzie? wiele szkody a mało z niéj użytku. Gdyby każda szkoda, czyli, używając wyrazu obszerniejsze znaczenie mającego, każde nieszczęście miało być stopniem do osiągnienia większéj mądrości, nie byłoby podobno pod słońcem mędr-

szego od nas narodu. Ze Niemiec mądry po szkodzie, tego mi nie jedno dowodzi, choćby też i konduktory w Lignicy gęsto po domach rozstawiane. Gdybym mógł przerobić to przysłowie, tobym powiedział raczéj *mądry Niemiec po szkodzie.*

Tak zapewne, Niemiec a nie Polak; otóż to będzie stosowniéj. Szkoda że nie mam komu udzielić myśli mojéj względem odmiany przysłowia. Nim wrócę do Polski to może o niéj zapomnę, a przynajmniéj nie natrafię na nikogo z którymbym mógł o tém pogadać, zapiszę ją sobie w dzienniku. Nie, jeszcze lepiéj, wyryję brylantem pierścionka na téj szybie całe przysłowie. Może który Polak przejeżdżający przeczyta je i nad ważnością zmiany zastanowić się zechce. Tak otóż jest: mądry . . . a co za twarde szkło, albo nie ostro szlufowany dyament, nie mogę Niemca na szybie napisać. . . Dryń! masz tobie, pękła szyba; wypadła na ulicę. — *Ach Herr Jesus!* krzyczą na dole, cóż to takiego? wyjrzyjmy . . . . ludzi pełno przed domem; otóż i markier i dziewczyna i gospodyni. I cóż się stało? stłukłem szybę, wielka rzecz, to za nią zapłacę. — Ale szkło wypadając na ulicę drasnęło po twarzy chłopaka, który wracając ze szkoły przypatrywał się dwom wróblom na gzemsie mego okna. — A po cóż się wróblom przypatrywał? ja temu nie winien, że jego niewczesna ciekawość ukaraną została. — Aleś pan stłukł szybę — Tak jest — Gdybyś jéj Pan nie był stłukł,

toby ona nie była wypadła, toby nie była chłopca tego zadrasnęła, więc. . . Rozumiem, trzeba pani gospodyni zapłacić za szybę trzy razy więcéj jak warta, a chłopakowi dać na leczenie draśnienia, któreby przed rodzicami ukryć potrafił, gdyby mu je był kolega paznokciem zadał. Zapłacę, zapłacę a dajcie mi pokój; ale nie pozwolę nigdy na to, ażeby Polak miał być mądrym po szkodzie. Wszakżem ja sam nie dawno pod eskortą wrócił do domu w Wrocławiu, za to żem tak jak dzisiaj w uniesieniu marzeń i wniosków nie zważał na szkodę którą zrządzić mogłem. Drogom wtedy zapłacił za wiśnie i porzyczki, a czyliżem się stał mędrszym przez to?
